Nr. 185. Lwów. — Wtorek dnia 12 sierpnia. Rok 1890.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową:
Miesięcznie — zł. 75 ct.	Miesięcznie 1·10 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Dwumiesięcz. 2·10 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Kwartalnie 3·— „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12·— „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inaczej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłasza się należy do Administracji „PRZEGLĄDU“ we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują
Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 2
„ przy ulicy Karola Ludwika liczba 5.
„ „ „ Jagiellońskiej liczba 4
„ „ „Słowackiego (obok łazienek Diany
Biuro Dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9

Rękopisów Redakcja nie zwraca

Dziś: św. Klary P. | Jutro: św. Hipolita M. | Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 4 m. 57 | Zachód „ „ 7 „ 9 | Długość dnia 14 g 12 m. | Ubyło dnia 4 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 11 sierpnia.

Pruska Komisja kolonizacyjna, działająca w Wielkopolsce, opublikowała sprawozdanie ze swej kulturtragerskiej pracy. W akcie tym chwali się, że ogółem nabyła dotąd od Polaków „na rzecz niemieckiej cywilizacji i oświaty“ 75 dóbr szlacheckich i 35 zagród włościańskich. Ten sukces, wartości wątpliwej nawet ze stanowiska niemieckiego, rozradował i dumą napełnił bismarkowskich epigonów, których wprawdzie coraz mniej, ale za to są oni z każdym dniem złośliwsi. Główny ich matecznik znajduje się teraz w gazecie *Schlesische Ztg.*, której artykuł, nadesłany zapewne z samej Komisji kolonizacyjnej, zasługuje na uwagę ogółu polskiego, nie dla tego oczywiście, że jest niezmiernie zjadliwy, ale że odsłania obawy naszych najserdeczniejszych, iż praca ich może pójść na marne. Te właśnie myśli wyjmujemy ze *Schlesische Ztg.*

„Polacy — pisze ona — oddają się nadziei, iż uda się im powoli i niespostrzeżenie spolonizować kolonistów, równie jak spolonizowali osadników dawniejszych; ufamy iż udaremni ich zabiegi wyższa inteligencja dzisiejszych kolonistów, silnie rozbudzone w nich uczucie patrjotyczne, a zwłaszcza opieka państwa. Rząd tworzy tylko większe gminy osadnicze, wznosi dla kolonistów szkoły i kościoły, a wiadomo, że Bambrzy (dawni koloniści) spolonizowali się tylko dla braku niemieckich szkół i kościołów“.

„Uważamy za potrzebne zwrócić uwagę rządu na działalność polskiego Banku ziemskiego, na parcelacje dokonywane przez p. dr. Kalksteina i na smutny fakt, iż Polacy kupują od czasu do czasu dobra niemieckie. Objaw ostatni tłumaczymy tem, iż właściciele polscy stają się coraz gospodarniejszymi, że zmienili sposób życia i doznają poparcia ze strony prywatnych spółek i instytucyj rolniczych“.

„Wyznajemy ze smutkiem, iż często dostarcza sama komisja kolonizacyjna Polakom środków do nabycia nowych dóbr ziemskich. Niemniej przeraża coraz liczniejsze wychodźtwo Niemców z dzielnic polskich, gdyż np. z rejencyjnego obwodu kwidzyńskiego wyszło od 1 maja 1884 do 30 kwietnia 1890 r. 15.021 Niemców i 7.254 Polaków, a więc Polaków o połowę mniej niż Niemców.

„Koniecznie trzeba pilnie śledzić wszystko, co się dzieje w obozie polskim i nie oddawać się żadnej iluzji co do skutków środków antipolskich. Zanadto wielka pewność mogłaby spowodować lenistwo w strzeżeniu zajętej pozycji, a to wyszłoby tylko na szkodę interesów niemieckich“.

Tyle *Schlesische Ztg.* Zbytecznie nawołuje ona rząd, aby pilnie baczył na wszystko, co się dzieje „w obozie polskim“, albowiem i bez tej podniety landraci na każdym kroku utrudniają działalność naszego Banku Ziemskiego, a nawet prywatnej parcelacji stawiają ciężkie przeszkody. Oto np. teraz pewien właściciel dużego obszaru ziemi rozparcelował swą posiadłość, parcele sprzedał polskim kmieciom, a ci natychmiast się pobudowali, otrzymawszy wpierw potrzebne koncesje na budynki od wójta. Dopiero gdy już domy były gotowe, wystąpił landrat z zakazem zamieszkania domów, albowiem wójtowskie koncesje nie mają żadnej wartości. Cóż przedtem robił ten pruski policjant, gdzie był, że nie widział budujących się domów? Oczywiście szło mu tylko o zrobienie szykany, o utrudnienia, aby zniechęcić do prywatnej parcelacji. Koniec końców zakaz landrata będzie zniesiony, lecz ileż będzie mitręgi, ile straty czasu.

Rozumie się samo przez się, iż „propaganda polska skierowana ku spolonizowaniu kolonistów niemieckich“ istnieje tylko w imaginacji *Schles. Ztg.* My o propagandzie podobnej zgoła nic nie wiemy, równie jak uważamy za błędne to, co powiada o spolonizowaniu Bambrów. Jeśli istotnie część kolonistów niemieckich po upływie długich lat spolonizowała się, to stało się to za wpływem nie szkoły i kościoła, bo szkoły są niemieckie a kościół protestancki, lecz w skutek miejscowych stosunków i otoczenia.

Dwa ciekawe epizody z pobytu cesarza Wilhelma w Ostendzie opowiada *Journal de Bruxelles*. Pierwszy z nich ma znaczenie ogólne, bo dotyczy politycznego stanu Europy. Oto, podczas galowego obiadu w królewskiej willi cesarz sam zaczął mówić o różnych sprawach, któremi się zajmuje opinja publiczna, uważając je za najbardziej groźne dla pokoju, i tu rzekł dosłownie: „Jestem głęboko przekonany, że pokój jest zagwarantowany na lat parę, a co do mnie, ani na chwilę nie przestanę pracować nad jego utrwaleniem i przedłużeniem.“

Drugi epizod jest następujący. „Stowarzyszenie robotników i terminatorów“ w Ostendzie wysłało pocztą adres do Wilhelma II. W adresie tym w imieniu wszystkich robotników belgijskich wyraża ono cesarzowi uczucia największego zaufania, uległości największej za obronę sprawy robotniczej i powiada, że wdzięczna historja po szczęśliwem rozwiązaniu owego zadania społecznego uzna Wilhelma II-go jako cesarza robotników. Wieczorem król belgijski przedstawił cesarzowi biskupa z Brügge, a temu w rozmowie Wilhelm II-gi miał powiedzieć: „Monseigneur, jestem szczęśliwy, że mogę ci oznajmić, jakie wysokie mi sprawił zadowolnienie adres, który mi przysłało jedno ze stowarzyszeń robotniczych tego miasta, i korzystam z tej okoliczności, aby o świadczyć, że w sprawie robotniczej znajduję się w najzupełniejszej zgodzie z poglądami i zasadami jego świętobliwości Leona XIII-go“. Pismo brukselskie z naciskiem zapewnia, że czystą podaje prawdę.

Polityczne sukcesy lorda Salisbury'ego, sukcesy tak wielkie, że opozycja musi przed niemi pochylić głowę, mają w oczach Gladstone'a tę ogromną wadę, że utrwalają rządy torysowskie. Trzeba więc bądź co bądź zaszkodzić Salisbury'emu w opinji publicznej. Najpierw tedy wywołali gladstoniści burzę z powodu rokowań rządowych z Watykanem o religijne stosunki na Malcie. Rzecz się tak miała. Rząd wysłał do Rzymu jenerała Simmonsa, aby się wystarał w Watykanie o rozstrzygnięcie sprawy małżeństw mięszanych między katolikami i protestantami na wyspie Malcie. Są to małżeństwa zupełnie prawowite według ustaw cywilnych, ale nie uznawane przez Kościół katolicki. Owóż Salisbury, pomimo oporu innych członków gabinetu, postanowił w tej sprawie udać się do Leona XIIIgo. Ojciec św. rozstrzygnął kwestję w ten sposób, że małżeństwa mięszane na Malcie będą przez kler katolicki uznawane, ale pod warunkiem, że wszystkie z tych małżeństw pochodzące dzieci zostaną wychowywane w wierze katolickiej. Rząd się na to zgodził i przygotował już odnośną ustawę, lecz ją w skutek namiętnego oporu opozycji cofnął. Opozycja, wysoce zadowolniona, że ma broń w ręku, dalej snuje sprawę wyspy Malty, spekulując na religijne oburzenie Anglików. Ale ta broń, już stępiona ustępstwem rządowem, niewiele korzyści dałaby gladstonistom, gdyby jednocześnie innem rozporządzeniem nie naraził się Salisbury anglikańskim fanatykom. Oto właśnie teraz wydał gabinetowe rozporządzenie, że katolicki arcybiskup-kardynał Manning ma prawo przy uroczystych pochodach kroczyć zaraz za księciem Walji, przed wszystkimi dostojnikami kościoła anglikańskiego. To rozporządzenie stało się silną bronią w ręku opozycji.

Piszą z Berlina: „Z Anglji dochodzą o wzajemnym teraźniejszym stosunku anglo-niemieckim wiadomości tego rodzaju, że niepodobna na nie nie zwrócić uwagi. Jak pobyt cesarza Wilhelma w Osbornie w roku zeszłym był niejako punktem wyjścia dla ugody anglo-niemieckiej i jak na tę ugodę niemały wpływ wywarł pobyt ks. Walji w Berlinie, gdzie go wspaniale przyjmowano, tak też i teraz w kołach Foreign-Offics obiega pogłoska, że teraźniejsza bytność cesarza w Osbornie nie pozostanie bez politycznego znaczenia. Dalej dają się tu i ówdzie słyszeć domysły, że między cesarzem, królową, księciem Walji i lordem Salisburym przyszło do układów, których ostateczny wynik może taką dla świata będzie niespodzianką, jaką była ugoda anglo-niemiecka“.

Jest to wiadomość pełna znaczenia. Dzienniki londyńskie piszą, że choć nie podpisano dotychczas przymierza anglo-niemieckiego, to jednak jest ono faktem dokonanym.

Prócz tego krąży pogłoska, poczytywana niemal za pewną, że cesarz Wilhelm przyobiecał królowej Wiktorji przybyć znów w roku przyszłym do Anglji i zabawić dni kilka w Londynie, zaś w tym roku, na niemieckie jesienne manewra pod Lignicą przybędzie podobno ks. Walji, królowie belgijski i szwedzki. Jeśli się to sprawdzi, natenczas podczas tych manewrów odbędzie się niezwykle liczny zjazd monarchów, albowiem i nasz Cesarz na nie się wybiera.

Korespondencje.

Paryż w sierpniu.

(*W. K.*) Nawet na porządną kronikę zdobyć się dziś trudno: takie upały, zabijające wszelką myśl, taka próżnia i nicość. Paryż w sierpniu z reguły jest nudny, a w tym roku sam siebie przeszedł pod tym względem. Biorę więc pod pióro, co się da, parę szczegółików z potocznego życia, troskliwie unikając polityki w tem przekonaniu, że jak nam tu, tak i wam wydaje się ona na dziś tak ciężką jak naprzykład watowany surdut.

Wróciłem właśnie z przechadzki po parku Monceau, położonym pośrodku dzielnicy Courcelles, gdzie skupia się wszystko, co Paryż ma najszykowniejszego i najbardziej wyrafinowanego. Znam starych Paryżan, którzy polowali tam na przepiórki. Dziś same tylko jaśnieją tam pałace, a wśród tych siedzib zbytkownych wchodzi się przez wyzłacane kraty do uroczego ogrodu w angielskim guście, zwanego parkiem Monceau. Jest to natura, ostrożna wprawdzie, ufryzowana i ogolona, więc nie bardzo naturalna, lecz pomimo to arcy wdzięczna. Pełno tam spacerujących panienek, pełno też nieuniknionych w żadnem miejscu publicznem niańek z dziećmi, tak zwanych Burgundek, w wysokich czepkach z szerokiemi, do pięt spadającemi wstęgami. Wojskowych się nie spotyka, lecz dużo przystojnych młodzików ze szkiełkiem w oku i laseczką w ręku. W środkowej alei pod cieniem kasztanów zebrała się znaczna gromada ciekawych. Zbliżam się i ja, i spostrzegam, że wszystkie oczy zwrócone są na młodą kobietę; uśmiechniętą, siedzącą na sztucznym odłamie kapitelu, opartą o jednę ze skruszonych niby kolumn, naśladujących zwaliska greckiej świątyni. O parę kroków od niej malarz jakiś siedzący za sztalugą, pracował spokojnie nad jej wizerunkiem, nie zważając zgoła na kilkaset otaczających go osób. Taki rodzaj pozowania jest najzupełniej w stylu „końca stulecia“, i jak dotąd nowy jeszcze. Dla dzieła o „otwartem powietrzu“ jak się mówi w pracowniach malarskich, czegóż lepszego pożądać? Pytano się też dokoła o nazwisko śmiałej niewiasty. Ale nie można się było dopytać; artysta milczał zawzięcie, a natrętnym groził pędzlami. Dama zaś ciągle się uśmiecha.

Paryż spoczywa: zebrania towarzyskie skończyły się; każdy śpieszy odetchnąć na morskich brzegach, albo gdzie na wsi w gościnnym zamku, albo wreszcie u wód w górach. Pozostają w Paryżu urzędnicy tylko, kupcy, no, i deputowani, których niesłychana opanowała gorliwość. Nie chcą za nic z miejsca ruszać od chwili, gdy się rząd z tem wydał, iż byłby rad ich się pozbyć. Ambasadorom pilniej trochę; włoski i angielski już się pakują; niemiecki, hr. Muenster, wyjeżdża z córką swoją do Londynu, zanim się do Hanoweru uda; hr. Moltke-Hvitfield, poseł duński, jedzie do swego kraju; hr. Hoyos, ambasador austro-węgierski, ma spędzić wakacje nad brzegiem Kanału, gdzie wynajął sobie willę na jednej z płaszczyzn normandzkich; baron Mohrenheim, ambasador rosyjski nie pojedzie tym razem do Salies w Bearnie, jak miał zwyczaj, lecz spędzi lato niedaleko Paryża w okolicach Sceaux, w willi położonej wśród wielkich lasów, gdzie będzie i sielskiej używał swobody i zarazem dogodności bliskiego sąsiedztwa Stolicy.

Za przykładem arystokracji, rodowej i pieniężnej, „tout Paris“ śpieszy do schronisk nadmorskich, do modnego dziś Trouvilla, do zaciszniejszego Dinard i do setki innych miejscowości, które letnikom za drogie pieniądze dają morskie powietrze, świeżą zieloność i tysiączne rozrywki. Równocześnie arystokracja, chroniąca się na czas skwarnego lata do swoich zamków i pałaców wiejskich, rozpoczęła już liczny szereg „des fêtes champetres“, polowań, spacerów konnych, w których obok jeźdźców w czerwonych frakach biorą liczny udział urocze i odważne amazonki. Na takie zabawy każe tegoroczna moda wysyłać zaproszenia bez oznaczenia dnia. Na wytwornym bilecie wizytowym zaprasza się tę a tę osobę do zamku X. „na cały czas przebywania tejże osoby na wiejskich wakacjach“. Tego rodzaju zaprosiny wprowadziły w modę księżna d'Uzes, księżna de Lygnes, księżna de Larochefoucauld, i inne damy z przedmieścia S. Germain.

Na te zaproszenia śpieszy więc cała okolica w promieniu kilkunastu *lieux*, lecz są i lubownicy silniejszych wrażeń, jak np. księżna Hamilton, która się wybrała konno na szczyt Mont Blanc. Nie będzie ona pierwszą na tym szczycie, bo już inna odważna niewiasta dotarła do tych wiecznych śniegów. Chce więc być przynajmniej drugą i owóż przed kilku dniami przejechała całą Francję na dzielnym rumaku i dziś bawi już w Genewie. Tam niezaprzeczenie będzie bezpieczniej tej dostojnej pani, niż równie dostojnemu księciu, który przybywszy do Paryża z Niemiec zapragnął wypróbować wszystkich rozkoszy tego nowoczesnego Babilonu. Więc w towarzystwie pewnej pięknej pani z półświatka pośpieszył do Nogent sur Marne, aby tam w wiejskiem ustroniu przegruchać miodowe dnie miłosnej awanturki. I byliby gruchali sobie jaki tydzień — niemiecki panek i paryzka kokotka — gdyby pewnego razu zapomniani na stole w austerji egzemplarz *Frankfurter Ztg* nie zdradził incognita, a niedelikatni włościanie nie pogrozili czułej parce, że spławią obojga w bystrych nurtach Marny. Pogróżki tej nie spełnili jednak, bo dumny syn Weltreichu nie czekając kąpieli, drapnął wraz z dulcynellą pozostawiając swoim prześladowcom nadpoczętą butelkę szampana i niedogryzionego kapłona. — Skończyła się więc awanturka w Nogent spokojniej od wyścigów w Colombes pod Paryżem, tam bowiem, gdy do pierwszego, trzeciego, czwartego i piątego startu jeden tylko koń stawał, publiczność tak rozgorzała szlachetnem oburzeniem, iż pogruchotała trybuny, zburzyła stajnie, popaliła nawet barjery ogrodzające tor wyścigowy, a uczyniła to wszystko dla tego, iż nie mogła dogodzić sobie w zakładach, w tej gorączkowej manji, która w ostatnich czasach stała się epidemiczną chorobą całego Paryża. Ku tym zakładom wabią paryzką publiczność liczne ajencje wyścigowe, które, wbrew surowym zakazom policji, mnożą się w przerażający sposób i przed czujnością organów policyjnych osłaniają się własną kontrpolicją.

Więc w pobliżu każdej ajencji stróżują „zapalacze“ (taka jest popularna nazwa tych kontrpolicjantów), i za najlżejszym posłuchem dają znać swoim pryncypałom, którzy w oka mgnieniu wszystko w swem biurze uprzątają. Udało się raz policji wpaść niby z nienacka do takiej agencji, — to jest mniemała ona, że wpadła niespodzianie — i zastała tylko pary grające w domino lub w bilardzik. Więc ażeby na gorącem defraudantów złapać, trzeba się na różne wysilać przebiegi. W St. Denis zainstalowała się była ajencja arcywytwornie; obicia, dywany, portjery z kosztownych materyj. Dwie młode osoby przyjmowały zapisy zakładowe. W oknach afisze głosiły: „Niepodobna tu przegrać“; „metoda nasza niezawodna“. „Otrzyma dwieście franków, kto jej mylności dowiedzie“. W obec takich reklam zawsze grupa gamoniów się zbiera. Jeden z nich, mocno jak widać przynęcony czytaniem prospektu, opuszcza towarzyszy i wchodzi do lokalu. Zastawszy pryncypała rozpytuje się go bardzo szczegółowo o urządzenie agencji i o wszystkie jej manipulacje. Gdy wreszcie zdawał się być zupełnie już przekonanym o doskonałości „metody“, agent zaś czekał na bilet bankowy z pugilaresu przybysza — ten ostatni nagle wyjął bilet — lecz nie bankowy — i nakrywając jednocześnie głowę zawołał: „Jestem komisarzem policji tutejszego cyrkułu! Niech się nikt z miejsca nie rusza!“ Następnie skinął na policjanta, niby to przechadzającego się po chodniku przed domem i rzekł doń: „Zaprowadzić wszystkie tu znajdujące się osoby do cyrkułu!“

Stało się wedle rozkazu przebiegłego komisarza, lecz chociaż znikła z horyzontu jedna szalbiercza ajencja, wnet wyrosło na jej miejscu kilka nowych, jeszcze bezczelniej reklamujących targ nieomylności i dalej garnie się ku nim łatwowierny ludek paryski, żądny wzruszeń i wygranych, aby przy ich pomocy pohulać sobie „*au fin du siècle*“.

Kilka rysów
z antropologji i psychologji kryminalnej.

I.

Od najdawniejszych czasów już czyniono poszukiwania celem wykrycia pewnego związku między zewnętrznemi cechami a zbrodniczemi skłonnościami ludzi, atoli pojęcie zbrodniarza jako odmiany typu ludzkiego, jako rasy wyrodzonej fizycznie i moralnie, jest dopiero wynikiem ostatnich badań współczesnych uczonych, którzy podnieśli antropologję kryminalną do godności odrębnej gałęzi nauki. Europejskiej sławy uczeni, jak Lombroso, Lacassagne, Lemoine, Benedikt, Hotzen, Lambl, Richter i w. i. pracowali i pracują na tem polu, a rezultatem badań swych dzielą się z szeroką publicznością.

Mimowoli musi się tu każdemu nasunąć pytanie, czy poszukiwania tych uczonych doprowadziły już do poważnych rezultatów, i czy zdołano wykryć stałe cechy, któreby wyróżniały zbrodniarzy z pomiędzy innych osobników tego samego narodu i tejże samej rasy.

Na to pytanie odpowiedź nader trudna. Każdy z wyż wymienionych uczonych pracował

---

6)

LISTY
z podróży za-atlantyckiej

X. Walerjana Przewłockiego

Przełożonego Jeneralnego XX. Zmartwychwstańców.

List czwarty.

Kentucky. St. Mary's College. 4 lipca 1890.

Musiałem zmienić nieco mój plan podróży, z Berlina zamiast do Chicago pojechałem wprost do St. Mary's College, O. Fehrenbach przybył bowiem niespodziewanie z wiadomością, że X. Biskup z Louisville ma wkrótce wyjechać do wód, trzeba się więc było spieszyć, żeby go jeszcze zastać.

Wspomniałem był poprzednio, że Polacy mają w Berlinie kaplicę. W dzień uroczystości św. Piotra i Pawła, w niedzielę, odprawiłem im mszę św., stosownie do okoliczności przemówiłem i udzieliłem błogosławieństwa Apostolskiego, które im Ojciec Św. przezemnie łaskawie zechciał przesłać. Zebrało się może jakie do stu osób. Poczciwie się modlą. Śpiewają po polsku godzinki, litanje, Anioł Pański. Jak słyszałem, zamożniejsi jednakże uczęszczają do kościoła parafjalnego niemieckiego, a nawet podobno w domu między sobą po niemiecku mówią. Ma to być oznaką jakiejś społecznej wyższości, wyższego stopnia oświaty i cywilizacji. Gdyby jeszcze mówili po angielsku, dałoby się wytłómaczyć, bo to język krajowy, ale po niemiecku w Kanadzie, to już chyba próżność, z którą tak łatwo u nas się spotkać.

Opuściłem gościnne brzegi Kanady w poniedziałek na olbrzymim parowym promie, na który cały pociąg wjeżdża. Przejechawszy rzekę St. Clair, wylądowaliśmy w Port Huron w Stanach Zjednoczonych i ruszyli zaraz do Detroit, które objechawszy dokoła, podziwiając potoki świateł elektrycznych, któremi jest oświecone, zmieniliśmy tu pociąg i na całą noc ruszyliśmy do Cincinaty.

Od Port Huron zaczyna się Stan Michigan. Parę godzin dnia, które tu nam jeszcze pozostało do przypatrzenia się miejscowości, smutne bardzo zostawiło wrażenie. Półtrzeciej najmniej godziny jechaliśmy płaszczyzną, na nowo zalesioną naturalnie, a z pośród krzaków sterczały spalone pnie wielkich kiedyś drzew, lub czarne, opalone, wysokie, zwęglone szkielety. Mnóstwo bagien, piaskowych zasypów, pełnych również zwęglenia. Musiał tu przejść straszny pożar po tej płaszczyznie, od czasu którego ręka ludzka nie tknęła się tej ziemi. Parę tylko zaledwie dojrzeliśmy ubogich chat. Kompanje kolejowe chętnie prowadzą szyny po takich pustkowiach, ziemia ich bowiem bardzo mało, albo nic nie kosztuje.

O wschodzie słońca zatrzymaliśmy się w Dajton, w Stanie Ohio, wielkiem handlowem mieście. Miasto to prawie całkiem katolickie. Tutaj uderzało nas znowu wielkie bogactwo ziemi i natury. Ohio jest rzeczywiście jednym z najpiękniejszych i najbogatszych Stanów. Miejscowość poprzeplatana wzgórzami, a wszystko jakby jeden park. Pełno drzew, zieleni, trawników, rzek i rzeczek. Domki bardzo schludne po górach i pagórkach rozrzucone, świadczą o dobrym bycie i zamożności mieszkańców. I tak się ciągnie aż do Cincinaty, dokąd przybyliśmy o godzinie siódmej rano.

Przejechawszy rzekę Ohio, nad którą Cincinaty położone, jest się już w Stanie Kentucky, pierwszym południowym Stanów Zjednoczonych. Częściej też spotyka się tu już murzynów niż białych. Stan Kentucky można nazwać górzysty. Ziemia zdaje się jałowa, a może i niedobrze uprawna. Przejeżdżaliśmy przez kilka tuneli bardzo prostej konstrukcji. Deski służą za ściany i sklepienie słupami podtrzymywane. I za czasów Noego inaczejby nie zrobiono. Drzewa tu podostatkiem, to też go nie żałują. Trawersy na kolei jedna koło drugiej, musi to bardzo upraszczać robotę. Chodniki po wsiach i miasteczkach wszystkie z drzewa milami się ciągnące.

We wtorek po południu przybyliśmy do Louisville. Gorąco dokuczliwe nierównie więcej niż we Włoszech, przygniata, oprymuje, nic też dziwnego, że każdodziennie bywają liczne wypadki śmierci z prostracji sił. W dniu, w którym przybyliśmy do Louisville jeden ksiądz po mszy św. raptownie w kościele skutkiem gorąca zakończył życie. W Louisville ta sama nieczystość w mieście, o której już z New-Yorku pisałem. Jest jedna porządniejsza ulica, na której zamożniejsi kupcy mieszkają. Domy niewielkie dziwnej jakiejś egipskiej jakby architektury. Kosztowne zapewne, bo dużo widać w nich pretensji. Ze wzrostem wszakże miasta, które tu w postępie przynajmniej arytmetycznym się zwiększają, wszystkie te wille przechodzą na *offices*, a właściciele posuwają się dalej, zwyczaj bowiem nie pozwala mieszkać tam, gdzie się robią interesa. Amerykanin nie zna *natale solum*, za którem już Owidjusz tak wzdychał, a rzecz szczególna: przy całem zamiłowaniu własnego *chez soi*, jakie mają, do którego rzadko obcego dopuszczą, chętnie przebywają po hotelach i pensjonach, w których całe nawet często życie trawią.

A dziwne ich to życie hotelowe! Pragnąc rozmówić się z X Biskupem, jak już na początku wspomniałem, zatrzymałem się w Louisville i stanęliśmy z O. Fehrenbachem w hotelu czysto amerykańskim, katolickim. Jeden z dawnych naszych uczniów z St. Mary's College jest jego zawiadowcą. Jest to hotel na wielką skalę, do 1000 numerów. Wszystko homerowskie. Widać pewien lux, bogactwo, a nie ma wygody, komfortu, jaki się już dzisiaj stał koniecznym. Brak czystości bardzo się czuć daje. Wchodzi się do ogromnej „Halli“, w której pełno Amerykanów kołyszących się i czytających w różnych, przerozmaitych pozach, dzienniki. Pierwsza rzecz, podają ci olbrzymią księgę, w której się trzeba zapisać. Nim się zapisałeś, już się widzisz otoczonym murzynami, zabierają tłumoki, klucze od pokoju i windą, w którejby kompanją wojska umieścić można, windują na górę. Ogromne korytarze, bogatymi zasłane dywanami; na wszystkie strony spluwaczki i nic więcej. Robi to wrażenie, pomimo tapetu, korytarza koszarowego. Pokoje dosyć obszerne. Na szczęście dano nam pokój z widokiem na rzekę, a więc w tej spiekocie mieliśmy nieco wiatru. Woda rzeczna z mułem, jakby wiślana; nie mają tu czasu filtrować, a więc taką się i myć trzeba i taką pić nawet. Do picia dodają lodu. Każdym razem jak zadzwonisz, wpada murzyn ze dzbanem wody z lodem, stawia go na stole i wychodzi. Godziny posiłku stale oznaczone: 12 a i 6 a. W innych godzinach żebyś umierał z głodu jeść nie dostaniesz; sala jadalna na klucz zamknięta i z uderzeniem 12 i 6 podwoje się tylko otwierają. Przybywszy o południu, musieliśmy czekać do 6; trzeba się było bowiem jakoś ogarnąć z podróży, a gdyśmy byli gotowi, przybytek gastronomiczny był już zamknięty.

Nie żałowałem, żeśmy musieli czekać do 6; miałem bowiem, wszedłszy do ogromnej sali jadalnej, prawdziwie wspaniałe widowisko. Najmniej 50 stołów było w sali, przy każdym dwóch murzynów z okrągłymi wachlarzami czekali na gości. Dwóch innych murzynów, widać „maîtres d'hotel“ jakby marszałków, w czarnych frakach i białych krawatach wskazują miejsca, podsuwają krzesła. Prezentują się następnie owi dwaj do tego stołu przeznaczeni, podają listę „menu“ drukowaną, niekończącą się w nomenklaturze. Przytem wszystkiem objad, jakby we Lwowie powiedziano, bardzo „pojedyńczy“, potrawy najprostsze w świecie, wcale miernie przyrządzone i podane. Amerykanie jedzą zwykle przed objadem np. jarzyny, czarne, dosyć nieczyste. Później odrazu przynoszą objad cały i stawiają przed tobą, mnóstwo salatereczek, talerzyków etc. Kartofle, surowe pomidory, groch, fasolę, rosbeef, mnóstwo ciasta — oto cały objad, a do tego herbata zamrożona. Ani piwa, ani wina nie zobaczysz przy stole. Gdy mówiąc z X. Biskupem wieczorem tegoż dnia, wyraziłem mu moje zdziwienie z takiej wstrzemięźliwości Amerykanów, roześmiał się serdecznie. „Homboug (blaga) to wszystko, rzekł. Wszyscy ci panowie o nawet i Ladies piją whisky (wódkę) i inne napoje i to bezmiernie, ale prywatnie, gdy nikt nie widzi“. Opisałem Ci, mój drogi Ojcze, szczegółowo ten epizod, bo Ci to da miarę do zrobienia sobie opinji o tym nowym świecie; *ex uno disce omnia*. We wszystkiem mniej więcej ten sam homboug, ta sama hipokryzja, która na nieszczęście i do Kościoła się wkrada i dużo złego czyni. Trzeba nam tu posyłać ludzi sformowanych i bardzo wytrawnych, inaczej bardzo łatwo, jak już miałem tego dowody, ta atmosfera czysto zewnętrzna, materjalna, pociąga i w mgnieniu oka przeistacza. Jest tu taki wir nieustający, który koniecznie zawraca głowę i rzuca człowieka, jak owego derwisza *tourneur*, o ziemię i djabeł go już trzyma w swych szponach. Ilu się tu zmarnowało ludzi, któż ich policzy! Patrząc na to wszystko objektywnie, doznaje się pewnego smutku, ucisku wewnętrznego. Tym ludziom najwyraźniej się zdaje, że i Bóg tu jakiś inny, że inna będzie dla nich miara, inna waga, inna niż dla zacofanych europejczyków. Djabeł też ma tu szerokie pole, którego jest panem i władzcą; a gdy się to jasno widzi, trudno nie zapłakać.

Wczoraj po południu przybyłem nareszcie do St. Mary's College. Od trzech tygodni już są wakacje; cicho więc tu i bardzo spokojnie. Kollegjum o 1½ kilometra oddalone od stacji, na której zaledwie kilka domów; ale na jakie 50 kroków od stacji już się wchodzi na grunt do kollegium należący. Rodzaj parku, ogromne stare drzewa i tak w cieniu drzew cały przeszło kilometr idzie się, zanim się dojdzie do zabudowań. Widziałeś, drogi Ojcze, fotografję frontu tego naszego zakładu. Wygląda to mniej więcej tak samo, tylko fotografje zawsze upiększają. Korpus instytutu, przez nas postawiony, dobrze wygląda i ładnie się prezentuje; skrzydła, zabudowania dawne, któreśmy zastali, nic nie warte, nieodpowiednie potrzebom zakładu wychowawczego, trzeba je będzie zwalić i na ich miejscu postawić nowe zupełnie skrzydła. Okolica tu ładna, górzysta, zalesiona dokoła.

Bogu Was oddaję i opiece N. Panny.

Wasz w Jezusie

X Walerjan C. R.

na własną rękę i według własnej metody, a często wyniki ich studjów są wręcz sobie przeciwne, zwłaszcza w zakresie cech anatomicznych, co się tem daje wytłómaczyć, iż nie istnieje jeszcze specjalna anatomja kryminalna. W przeciwnym razie żadna dyskusja bowiem nie mogłaby mieć miejsca, niktby nie wątpił o istnieniu typu zbrodniarza, tak jak dziś nikt nie wątpi o istnieniu typu malajskiego lub mongolskiego.

Powtóre i nauka antropologji kryminalnej nie jest dawną, utworzyły ją dopiero ostatnie dziesiątki lat naszego stulecia, a nawet uczeni pracujący w tej dziedzinie, pracowali oddzielnie, osobno, nie porozumiewając się wzajemnie, i nie dzieląc się ze sobą swemi myślami i odkryciami. Dopiero przed trzema laty w r. 1887 zebrało się w Rzymie 128 uczonych ze wszystkich stron Europy, którzy zakomunikowali sobie wspólnie najnowsze odkrycia w tej nowej gałęzi wiedzy, a urządzona podczas zjazdu wystawa, w znacznej mierze doświadczalnie te odkrycia stwierdziła. Od tej pory też, od tego pierwszego porozumienia się, rozwój antropologji kryminalnej podwoił się co do szybkości i siły.

Następny zjazd uczonych tych odbył się zeszłego roku podczas wystawy w Paryżu, a profesor Lombroso, najpilniejszy i najsumienniejszy badacz na tem polu zdawał sprawozdanie o zboczeniach morfologicznych spostrzeżonych u zbrodniarzy.

Dotąd nie odkryto wprawdzie ani jednej cechy, stale wyróżniającej zbrodniarza od niezbrodniarzy, zauważono tylko pewne anormalności fizyczne, dające się spostrzegać również i u ludzi, uchodzących za uczciwych, które wszelako spotykają się *częściej* u zbrodniarzy, już to oddzielnie, już to w połączeniu.

Prace Lemoinea, Hotzena, Lambla, Browna i Mingazziniego, wykazały u zbrodniarzy częstość objawów anormalnych w mózgowym obiegu krwi, urzeczywistniając tem wróżbę ojca antropologji Broca.

„Jeden lub kilka podobnych objawów — pisał ten uczony — nie przeszkadzają wcale mózgowi być dostatecznie inteligentnym i zachowywać właściwą równowagę; ale z chwilą gdy stają się one licznemi, gdy dotykają części najważniejszych, są oznaką rozwoju chorobliwego. Można to często spostrzegać w mózgach ludzi umysłowo niedołężnych a także u zbrodniarzy“.

Chcąc świat uczony zapoznać bliżej z najnowszemi odkryciami i badaniami poczynionemi na tem polu, prof. Lombroso wydał świeżo w języku francuskim książkę p. t.: „Antropologja kryminalna i jej najnowsze postępy“ i w niej podaje streszczenie ostatecznych wyników wiedzy antropologicznej w zakresie badania przestępstwa.

Cechy odróżniające zbrodniarza od niezbrodniarza polegają po większej części na zboczeniach czaszki i twarzy od normalnego europejskiego typu. Zboczenia te mają zwykle charakter wsteczny — jak n. p. czoło niskie, wąskie i podane w tył, wystające kości nadoczne i t. p. Prócz tego nader często zauważano u zbrodniarzy nadzwyczajną długość rąk, oraz zdolność władania z równą zręcznością obu rękami.

Bardzo również dziwną i zastanawiającą jest okoliczność, że niektóre z tych anormalności napotkać można częściej u morderców, inne znów u złodziei. Lombroso, twierdzi nawet stanowczo, iż objętość czaszki morderców zawsze mniejszą jest od objętości czaszki złodziei.

Fizjonomje złodziei i morderców, które barwnie maluje Lombroso, również uderzają nadzwyczajnym kontrastem. Podczas gdy według Lombrosa złodzieje „odznaczają się nadzwyczajną ruchliwością twarzy i rąk, i mają oko żywe i małe, brwi gęste zbliżone do siebie, nos spłaszczony, czoło zawsze prawie małe i cofnięte“, to mordercy według niego, „spojrzenie mają zimne, skrystalizowane, oczy ich bywają zazwyczaj krwią nabiegłe, nos duży, częstokroć orli lub zakrzywiony, uszy długie, włosy kędzierzawe i bujne; szczęki mocne, kły silnie rozwinięte, wargi wązkie, twarz ulegająca często nerwowym drganiom lub skurczowi mięśni z jednej strony, co jej nadaje wyraz ironiczny lub groźny“.

W obserwacjach antropologicznych najwybitniejszą rolę odgrywa czaszka. Typ jej normalny oznaczono już od dawna, dla tego też bardzo łatwo było dostrzedz anomalje na czaszkach przestępców. Owóż niektóre specjalne zagłębienia potylicowe na czaszkach zbrodniarzy zaznaczyli prawie wszyscy badacze i przedstawili w tej mierze dość wymowne stosunki liczebne. Mingazzini i Romiti stwierdzili częstość zbytniego rozrośnięcia się guza czołowego w stosunku 47 procent pośród zbrodniarzy, a 4 procent pośród ludzi normalnych.

Najwięcej wymiarów antropologicznych dokonano w ostatnich czasach na zbrodniarzach żyjących, a sporo materjału w tej mierze dostarczył uczeń Lombrosa Maro (*Caratteri dei deliquenti 1889*) Stwierdził on n. p. znacznie większą niż normalną objętość głowy u złodziei, a w ogóle pośród zbrodniarzy znalazł 86 procent z wązkiemi czołami i 41 procent z czołami niskiemi. (Proporcja ta pośród normalnych ludzi wynosi 31 procent i 15 procent). U zabójców obwód tylnej części czaszki jest większym niż przedniej; szczęka dolna bardzo jest rozwinięta; włosy najczęściej czarne i kręcone, broda rzadka lub też całkowity brak zarostu. Podpalacze wszyscy prawie należą do obłąkanych dziedzicznie.

Ottolenghi studjował jamy nosowe i znalazł, iż zbrodniarze, a przedewszystkiem zabójcy mają kości nosowe nadzwyczaj rozwinięte a te 40 procent na sto, podczas kiedy stosunek ten wśród ludzi normalnych nie przechodzi 4 procent.

Wymiary morfologiczne stały się dziś rzeczą wprost automatyczną, dzięki świetnemu wynalazkowi profesora Anfosso. Jego „tachiantropometr“ jest instrumentem, określającym z maszynową dokładnością najważniejsze wymiary ciała. Odda on usługę nietylko sądownictwu i policji, ale pozwalając zajmować się praktyką antropologiczną także niespecjalistom, podniesie do wielkiej skali obserwacje, które dotychczas możliwe były jedynie dla uczonych.

Dalej cechuje zbrodniarzy brak wszelkiej wrażliwości moralnej i zmienność stanów psychicznych, a na tem tle zarysowuje się wyuzdana namiętność do gry, pijatyki i rozpusty. Dowodem nieczułości pod względem moralnym jest cynizm, z jakim robią zeznania przed sądem nawet w obec licznie zgromadzonej publiczności, nie cofając się przed jak najdokładniejszem opowiadaniem o najokropniejszych szczegółach. Obojętni na hańbę rodziny i boleść krewnych, niezdolni do wyrzutów sumienia, nie okazują najmniejszego wzruszenia lub żalu, mówiąc o nieszczęśliwych ofiarach swych zbrodni.

Dostojewski, który długie lata więzienia spędził w posępnym „domu umarłych“, stwarzając swe cenne dzieło, dał nam w niem najdoskonalszą psychologję zbrodniarza, pochwyconą z życia, odfotografowaną z towarzyszy, z którymi przedługie obcował lata. Z opisu jego okazuje się także, iż świat wewnętrzny złoczyńców syberyjskiego więzienia podobny jest jak dwie krople wody do duchowości złoczyńców włoskich, opisanych przez Lombrosa. Lecz posłuchajmy go chwilę. „Członkowie dziwnej tej rodziny — mówi on — posiadają między sobą wyraźne rysy podobieństwa, widoczne na pierwszy rzut oka. Wszyscy oni są ponurego usposobienia, zazdrośni, próżni, zarozumiali, obrażający się lada czem i przesadnie ceremonjalni. Natomiast nie dostrzegłem w nich nigdy najdrobniejszej oznaki wstydu lub żalu. W ciągu tylu lat powinienbym był przecie uchwycić choćby przelotny błysk smutnego wspomnienia lub cierpienia moralnego a jednak nie dostrzegłem nigdy nic. Pomimo rozmaitości poglądów i zdań są zbrodnie, które zawsze i wszędzie jednozgodnie będą uznane jako takie, dopóki człowiek nie przestanie być człowiekiem. W domu poprawy jedynie zdarzało mi się nie raz słyszeć opowiadania o najniemożliwszych, najokrutniejszych występkach, wypowiadane żartobliwie z zaledwie powstrzymywanym śmiechem. Utkwił mi szczególnie w pamięci pewien ojcobójca, były szlachcic i urzędnik, typ marnotrawnego syna, który się stał sprawcą wszystkich nieszczęść i zgryzot ojca. Wedle ogólnego mniemania ojciec ten miał posiadać prócz majątku ziemskiego starannie ukrytą gotówkę, i oto własny syn zabija go, pragnąc co rychlej wejść w jej posiadanie. Zbrodnię wykryto dopiero po upływie miesiąca, a przez cały ten czas morderca nie zmienił w niczem trybu życia, oddając się zwykłym hulankom. Policja w końcu znalazła trupa w ścieku, przykrytym deskami. Siwa głowa starca oddzieloną była od tułowu i spoczywała na poduszce, którą morderca rzucił tam, jakby na pośmiewisko. Sąd skazał wyrodnego syna na 20 lat do ciężkich robót z pozbawieniem wszelkich praw.

Przez cały czas naszej znajomości nie zauważyłem w nim ani cienia smutku lub żalu. Nie spotykałem nigdy człowieka bardziej lekkomyślnego i roztrzepanego, chociaż pod względem umysłowym nie był on wcale ograniczonym, a pod względem moralnym nie wyróżniał się nadzwyczajnem okrucieństwem. Inni więźniowie obchodzili się z nim pogardliwie, nie z powodu spełnionej zbrodni jednak, lecz dla tego, że był źle ubrany. W rozmowie wspominał niekiedy o ojcu, chwaląc się raz n. p. z silnej budowy ciała, którą posiadali wszyscy członkowie jego rodziny, dodał: „Mój ojciec, na przykład, nie chorował ani razu przez całe życie.“ Zwierzęca nieczułość, posunięta do tak wysokiego stopnia, przechodzi granice naszego pojęcia, i każe przypuszczać istnienie fizycznej lub moralnej potworności, nie wykrytej dotąd przez naukę“.

Zupełna owa niezdolność do odczuwania wyrzutów sumienia lub żalu za winy, w połączeniu z próżnością i przesadnem zamiłowaniem do strojów, dobrze jest znaną wszystkim badaczom, a Lombroso robi uwagę, że cechy te zbliżają wielce przestępców do dzikich.

Marro spostrzegł u zabójców i u złodziei znaczne zmniejszanie wrażliwości, a nawet i zupełną nieczułość na ból. Pewien zabójca pozwolił sobie amputować nogę, nie wydając jęku, a po skończonej operacji bawił się odciętą częścią nogi. Inny, wypuszczony z galer, prosił po odbyciu kary dyrektora, aby pozwolił mu pozostać w więzieniu; widząc zaś, że prośbie jego odmówiono, rękojeścią wielkiej metalowej łyżki wyrwał sobie wnętrzności, a potem poszedł spokojnie po schodach do celi i położył się do łóżka, gdzie umarł po chwili. Anelgezja ta tłumaczy dokładnie dzikość środków, obieranych tak często przez samobójców w więzieniach, oraz skłonność do samobójstwa nawet tych, których skazano na kilka dni więzienia. Stwierdzono to wielokrotnie w Mazas. W niej też leży źródło niezwykłego okrucieństwa zbrodniarzy.

Kronika.

Lwów 11 sierpnia.

Order Franciszka Józefa otrzymał dyrektor szkoły realnej w Tarnopolu, p. Józef Kicki, z powodu przeniesienia go w stan spoczynku, na który zupełnie zasłużył pełniąc z rzadką gorliwością przez lat czterdzieści żmudną pracę nauczyciela szkół publicznych.

Mianowania i przeniesienia. Substytuci prokuratorji państwa pp. Juljusz Gizowski (Brzeżany) i Stanisław Przyłuski (Kołomyja) przeniesieni do Lwowa. Radzca sądu krajowego p. Władysław Seredowski mianowany prokuratorem państwa we Lwowie, a substytut prokuratorji p. Alfred Hinze (Sambor) zastępcą starszego prokuratora we Lwowie.

Dalej adjunkci sądowi pp. Karol Kowalski (Kołomyja), Roman Stebelski (Brzeżany), Marjan Oleński (Sambor), dr. Fr. Mandybur (Tarnopol) mianowani są substytutami prokuratorji państwa.

Dr. Józef Wereszczyński, członek Wydziału krajowego, wyjeżdża w bieżącym tygodniu na dłuższy urlop, który spędzi w Ostendzie.

Kierownictwo departamentu gminnego na czas urlopu dr. Wereszczyńskiego, obejmie zastępca członka Wydziału krajowego, Wł. hr. Koziebrodzki.

P. Antoni Schiffner, radzca dworu i naczelny dyrektor poczt i telegrafów w Galicji, wyjechał na prowincję, celem dalszej lustracji urzędów pocztowych i telegraficznych.

Dr. Piotr Gross, kierownik tutejszej reprezentacji krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, nie wyjechał — jak to donosiliśmy — do kąpiel, lecz wyjeżdżał na jeden dzień dla odwiedzenia chorej żony i dziś powróciwszy ze wsi, urzęduje już w reprezentacji.

Z niedzieli. — Uśmiechnięty i promienny był wczorajszy dzień niedzieli, słońce siało złote blaski z lazurowych nieb topieli. Nie spłatała figla aura do wieczora od poranka, więc radował się Lwowianin, radowała się Lwowianka. Wprawdzie rano stare chmury deszczem Lwowu wciąż groziły, lecz w południe słońca blaski je do szczętu rozproszyły. Więc wesoły lwowski ludek na zabawę tłumem ruszył: po ogródkach, „Gwiazdach“, „Skalach“, kufle piwa dzielnie suszył. Na „aniołach“ i „aniołkach“ modne suknie do figury, wyglądały jak marzenie lwiego grodu piękne córy. Patrząc na nie, człowiek wszelki w poetyczną wpadał wenę, bez ratunku tracił głowę (jeśli ją miał *nota bene*). Do Brzuchowic i Lubienia chciwi wrażeń poetycznych wyjechali, by odetchnąć wonią łanów, pól pszenicznych. Tak ich dziwnie oszołomił łąk i lasów świat zaklęty, że niejeden wracał chwiejny niby „ścięty“ lub „podcięty“. Gdy na ziemię spłynął wieczór i księżyca blask świetlany, szli z powrotem do swych domów piękne panie brzydkie pany i wrócili do swych siedzib uśmiechnięci i weseli. Tak spędziły dzieci Lwowa ten wczorajszej dzień niedzieli.

Na uniwersytecie budapeszteńskim, według świeżo ogłoszonego rozporządzenia ministra oświaty Csaky'ego, będzie począwszy już od półrocza zimowego 1890/91 zniesione czesne, pobierane według ilości godzin, na jakie słuchacz uniwersytetu się zapisał, a zaprowadzoną zostanie stała opłata szkolna w kwocie 30 zł. za półrocze, bez względu na ilość godzin, na które słuchacz uczęszcza. Płace profesorów odpowiednio podwyższono.

Z uniwersytetu. Na katedrę chrześcijańskiej filozofji w uniwersytecie lwowskim przedstawił fakultet filozoficzny dr. Józefa Laskowskiego, na katedrę dogmatyki szczegółowej dr. Bilczewskiego z Krakowa, na katedrę historji kościelnej dr. T. Gromnickiego, nadzwyczajnego profesora prawa kanonicznego z Krakowa, a na katedrę nauk biblijnych nowego zakonu dr. T. Myszkowskiego.

Stypendja cesarskie Na początku najbliższego roku szkolnego 1890/91 rozdane będą pomiędzy ubogich a godnych wsparcia słuchaczy czterech wydziałów uniwersyteckich, a mianowicie uniwersytetów w Buda-Peszcie cztery, w Gracu dwa, w Wiedniu, Pradze, Zagrzebiu, Krakowie i Czerniowcach po jednem stypendjum w złocie z fundacji Franciszka Józefa i Elżbiety o 300 zł., w złocie każde.

Starający się o jedno z tych stypendjów ma wnieść własnoręcznie napisane i do Cesarza wystosowane podanie i zaopatrzyć je w następujące dowody kwalifikacyjne: w metrykę chrztu lub wyciąg metrykalny; wiarogodne poświadczenie ubóstwa z poszczególnieniem stanu, stosunków majątkowych i familijnych rodziców, a w razie sieroctwa, świadectwo władzy opiekuńczej o zasobności pupila; świadectwo złożonego egzaminu dojrzałości, a jeżeli ubiegający się jest już słuchaczem uniwersytetu, świadectwo kollokwialne, lub złożonego w drugiem półroczu roku szkolnego 1889/90 egzaminu państwowego, przyczem się nadmienia, że w równych warunkach otrzymają pierwszeństwo ci kompetenci, którzy studja uniwersyteckie rozpoczynają dopiero.

W podaniach wymienić należy także, czy starający się posiada już jakie stypendjum lub zasiłek z kas publicznych; dalej, jeżeli wnoszący podanie, jest abiturjentem, jakim studjom zamierza się poświęcić. Podania winny być wniesione najpóźniej do dnia 31 sierpnia rb. do ces. i król. jeneralnej dyrekcji Najwyż. funduszów (*K. und k. General-Direction der A. h. Fonds k. k. Hofburg*) w Wiedniu.

Konkursa. Przy sądzie powiatowym w Bohorodczanach są zaraz do obsadzenia dwie posady dyetarjuszy. Kandydaci, ubiegający się o te posady mają wnieść swe podania najdalej do dnia 20 sierpnia b. r. na ręce naczelnika sądu powiatowego w Bohorodczanach.

Przy sądzie powiatowym w Radomyślu wolną jest posada woźnego. Podania z prośbą o nadanie tej posady należy wnosić do prezydjum sądu obwodowego w Tarnowie najdalej do dnia 12 września br.

Śluby. Dnia 17 bm. w kościele parafialnym w Horodence odbędzie się ślub baronówny Iwy Romaszkanównej, córki Jakóba i Heleny z Petrowiczów, z p. Juljanem baronem Brunickim.

Dnia 13 bm. odbędzie się w Żółtańcach ślub panny Klementyny Popowiczównej, córki kierownika szkoły żółtanieckiej, z p. Emiljanem Bojarskim, ukończonym gr. kat. teologiem.

Dyplomy magistrów farmacji muszą posiadać w przyszłości ci farmaceuci, którzy samodzielnie zawiadować mają aptekami. Tak orzeka najnowsze rozporządzenie p. ministra oświaty, wydane do dekanatów wydziałów lekarskich w Wiedniu, Pradze, Insbruku i Krakowie, oraz do dekanatów wydziałów filozoficznych w Czerniowcach i Lwowie. Prócz tego, stanowi to rozporządzenie, że do samodzielnego kierowania aptekami będą w przyszłości dopuszczani farmaceuci z dyplomem magistra, którzy wykażą pięcioletnią służbę praktyczną w aptekach.

Napad. Wczoraj w nocy mieszkańcy ulicy Chorąszczyzny przebudzeni zostali o godzinie drugiej przeraźliwym krzykiem napadniętej kobiety, którą jakiś rzezimieszek chciał obrabować. Powalił ją przemocą na ziemię, usiłując odebrać pieniądze. Dopiero krzyk napadniętej skłonił rzezimieszka, iż wypuścił z rąk swoję ofiarę, gdyż przebudzeni dozorcy okolicznych domów przyszli napadniętej z pomocą.

Możeby policja zechciała więcej zaopiekować się tą częścią miasta, gdzie policjant należy do największych rzadkości.

Lwowska Izba handlowa i przemysłowa odbędzie jutro, we wtorek, swoje posiedzenie. Na porządku dziennym stoi wybór dwóch członków i dwóch zastępców do państwowej Rady kolejowej na dalsze trzechlecie.

W galicyjskim Zakładzie dla ciemnych we Lwowie, ul. Łyczakowska l. 37, wakuje 5 miejsc dla chłopców, a 4 miejsca dla dziewcząt ociemniałych, które 10 rok wieku już osiągnęli. Rok szkoły rozpoczyna się dnia 1 września br. O bliższych warunkach przyjęcia dowiedzieć się można w Dyrekcji Zakładu.

Przytem zaznaczamy, że Zakład dla ciemnych we Lwowie nie jest li tylko instytucją dobroczynną dla najbiedniejszych dzieci wiejskich, ale owszem Zakład ten opiekuje się także ociemniałemi dziećmi z lepszych domów mieszczańskich, wychowuje je starannie i udziela im specjalną i systematyczną naukę w przedmiotach szkolnych i w muzyce, czego oczywiście biedne te dzieci w domu rodzicielskim otrzymać nie mogą.

Zmarli. Fryderyka Bernkopf, uczenica II. kursu szkoły robót, córka urzędnika Kolei Ludwika, zmarła w Krakowie w 16 roku życia.

Wymarsz wojska na ćwiczenia Do Brzeżan wymaszerował w sobotę ze Lwowa 55 pułk piechoty, wczoraj zaś opuściły nasze miasto pułki 80 i 15, które udają się do Złoczowa; 7 pułk ułanów udaje na miejsce przeznaczenia 15 bm., a 24 bm. wymaszerują pułki 30 i 95. Udają się one do Bóbrki. — Artylerja rozdziela się na kilka części i również w tych dniach opuszcza Lwów.

W Brzeżanach przygotowują się na przyjęcie wojska mającego odbyć w okolicy Brzeżan manewry. Mają tam przybyć cztery pułki piechoty ze swemi muzykami.

Ruch w mieście ogromny, funkcjonarjusze urzędu gminnego krzątają się około dokładnego urządzenia kwater dla wojska. Włościanie zaś — z powodu manewrów — spieszą się ze zbiorem zboża.

Zbrodnia. Dnia 4 b m. popełniono w Zakliczynie nad Dunajcem straszną zbrodnię.

Włościanka, Marjanna Grzegorczyk, około 60 lat licząca, zabiła męża swego kilku uderzeniami siekiery, dawszy mu przedtem do zażycia usypiający proszek. Zabitego zawlokła następnie do stodoły i tam w południe, t. j. mniej więcej w 10 godzin po zabiciu, odcięła mu siekierą głowę, ręce i nogi. Głowę zawiązawszy w szmatę ukryła w polu, a nogi wraz z rękami włożyła do worka, wyniosła na miejsce, gdzie brano glinę i tam je zakopała. Również chciała zakopać w polu i kadłub zamordowanego, ale przy tem przytrzymano ją i oddano w ręce sprawiedliwości.

Do czynu tego miała popchnąć tę zbrodniarkę zazdrość. Grzegorczykowa jest matką trzech dorosłych synów, z których najmłodszy mieszkał przy rodzicach.

Na budowę seminarjum żydowskiego w Bojanowie w W. Ks Poznańskiem, przeznaczył kupiec Maurycy Röhr z Wrocławia jako legat 600.000 marek. Gdy jednak rejencja nie chciała udzielić na to zezwolenia, zamierzono z tych pieniędzy utworzyć zakład dla kantorów żydowskich i rzezaków (szechterów). Rejencja przedłożonego sobie statutu jednak nie zatwierdziła, w skutek czego zaniechano zamiaru uszczęśliwienia Księstwa Poznańskiego żydowskiem seminarjum.

Ciekawe są cyfry o wzroście Warszawy.

Wedle urzędowych dat statystycznych z dniem 1 stycznia r. z. ogólna ludność Warszawy — z wyjątkiem wojska — wynosiła 445.770 mieszkańców. — W ciągu roku urodziło się dzieci 21.125, a zmarło 13.049 ludzi, zatem z końcem roku ludność powiększyła się skutkiem przewagi urodzeń nad śmiertelnością o 9076, oraz skutkiem przesiedleń o 1006 osób i dosięgła cyfry 219.308 mężczyzn a 236.544 kobiet, razem 455.852 osób.

Główną masę ludności stanowią Polacy, których naliczono 274.140; żydów jest 151.076, Niemców 16.548, Moskali 13.609, Mahometan 179. — Dzieci katolickich urodziło się 12.458, a zmarło katolików 8509; zatem ludność katolicka powiększyła się z końcem roku 3949 osób czyli o 1·4 pct. — Żydów urodziło się 8395, zmarło 3783, zatem z końcem roku ludność żydowska powiększyła się o 4612 osób czyli o 3 pct.

Liczba narodzin pośród ludności katolickiej wynosiła 4·5 pct., śmiertelność 3·4 pct.; pośród ludności żydowskiej liczba narodzin 5·5 pct., śmiertelność 2·5 pct.; pośród ludności rosyjskiej liczba narodzin 3·6 pct., śmiertelność 1·8 pct., przyrost 1·7 pct.; pośród ludności niemieckiej liczba narodzin 4·6 pct., śmiertelność 2·9 pct.

Powyższe cyfry jasno wskazują, że żydzi warszawscy równie jak galicyjscy szybciej rozmnażają się od ludności rdzennej krajowej; że przeto — wobec corocznego wzrostu ludności katolickiej o 1·4 pct., a ludności żydowskiej o 3 pct. — Warszawa, która już teraz w trzeciej części zaludnioną jest przez żydów, za lat trzydzieści trzy będzie miała przeszło 300.000 ludności żydowskiej; równocześnie ludność katolicka wzrośnie tylko o 46·2 pct., a więc z cyfry 304 770 na 445 572 głów.

Wyścigi welocypedystów rozpoczęły się onegdaj Wiedniu w obec nader licznie zgromadzonej publiczności. W nich wzięli udział nietylko miejscowi amatorowie tego karkołomnego sportu, lecz uczestniczyli również cykliści z całych Niemiec przybyli do Wiednia na IV zjazd walny niemieckich śpiewaków. Owoż gościnni Wiedeńczycy do tego stopnia posunęli swoję uprzejmość w obec gości, iż na ich korzyść zrzekli się trzech najznaczniejszych nagród. Wziął je niejaki Lehr z Frankfurtu, który w biegu o nagrodę miasta Wiednia przebył 3000 metrów na monocyklu w 5 minutach 27 sekundach i w następnym biegu przebiegł 5000 metrów w 9 minutach i 8 sekundach. Brylantowa szpinka w formie herbu miasta Wiednia dostała się dzielnemu cykliście w nagrodę za ten ostatni bieg.

Z nędzy. W piątek na Pradze pod Warszawą niedaleko smoka wodociągowego wydarzył się następujący wypadek:

W miejscu tem zauważano przechadzającego się człowieka z czteroletnią dziewczynką. — Nieznajomy zdawał się być bardzo wzruszony, a dziecię płaczące tulił do piersi. Upatrzywszy chwilę kiedy się ruch przechodniów zmniejszył, nieznajomy trzymając dziecko na rękach, rzucił się do wody. — Flisacy zatrudnieni na tratwach w pobliżu miejsca tego stojący pospieszyli na łodziach samobójcy na ratunek i zdołali oboje szczęśliwie wyratować i przyprowadzić do przytomności.

Po przeprowadzeniu dochodzeń okazało się, że niedoszłym samobójcą jest były oficjalista prywatny, pozostający od dłuższego już czasu bez zajęcia. Do rozpaczliwego tego czynu skłoniła go nędza.

Niezwykły jubileusz. Biblijnego Jakóba, który siedm lat starał się o Rachelę, uważają wszyscy za

---

41)

Aż do zgonu.

Powieść

przez

SAS-ŁADĘ.

(Ciąg dalszy.)

Zmierzyła go gniewnem spojrzeniem, zawrzała, jednakże opanowała się bardzo prędko i milczenie nakazując wzburzonym uczuciom, postanowiła nie zdradzić się niczem, chociaż w chwili tej, kiedy go tak przed sobą ujrzała, cała krew uderzyła jej do serca, życie jakby stanęło. W krótkiem mgnieniu oka odnalazła przeszłość minioną ze wszystkiemi przebytemi bólami, opokorzeniami, strasznym zawodem — i silnie musiała umieć chcieć, jeśli przezwyciężyła swój żal i słuszną obrazę, jeśli nad gwałtownem oburzeniem odniosła zwycięstwo, zmuszając znów usta do wesołego, zwykłego uśmiechu... Tylko zacięła się trochę przy pierwszych słowach, które wyrzekła:

— Pan sobie życzy kupić różę?

— Pozwoli pani?

— O, bardzo proszę. To na kościół... Czynię co mogę...

I zwiedła Leona. Sądził, że spotka się z lekceważeniem i niegrzecznością obrażającą. Olechnął — przyjęła go jakby wczoraj dopiero najlepiej się rozstali.

Pochylił się nad koszem. Niby opatrywał różę, a tymczasem żyły gwałtownie pulsowały mu w skroniach, ziemia drżała pod nogami, wszystko dokoła wirowało. Myślał: „Czy zatrzyma przy sobie — czy oddalić się każe?“ a jej ręce przesuwały się tuż, tuż pod jego oczami i zapach znany odurzał go rozkosznie.. Wzniósł ku niej wzrok błagalny.

Zaczęła wypytywać, którą różę woli? I jakby nigdy nic nie zaszło między niemi, zdawała się nie zważać na jego wzruszenie i sypała nazwami kwiatów, odurzając go wyliczaniem swojego towaru.

Może pan weźmie nawpół rozwiniętą „Theę“, może drobną „Perle des Jardins“, może bladą „Malmaison“...? Z kolei podawała mu „Gloire de Dijon“ i zachwalała „Jenerała Niela“ — pokazywała przepyszną ciemną „Van Hut“ i pełną „France“ o delikatnych, różowych listkach...

Milczał, nie mógł zdobyć się na ust otworzenie, głos jej przenikał go i poruszał całe światy wspomnień, ręce ich spotkały się parę razy wśród kwiatów...

Zbierał siły, opanowywał myśli. I po nad koszem róż wymienił z nią w końcu parę słów zwyczajnych, nic nie znaczących, a zdawało mu się, że to nie on, ale ktoś inny mówi... tak spokojny był dźwięk tych wyrazów, tak obojętny!... i zaśmieli się nawet, gdy zaczepiwszy o konewkę z wodą, niezgrabnie wylał ją sobie na nogi. Potem powiedział jej parę komplementów o urządzeniu loterji — potem spytał jeszcze o rezultat sprzedaży kwiatów. Sam się sobie dziwił, skąd mu się brały pomysły do takiej rozmowy, bo co innego miał w głowie a co innego na ustach. Wreszcie ośmielił się spojrzeć jej w oczy. Wytrzymała spojrzenie bez śladu gniewu. Otucha weszła mu w serce, poweselał, oprzytomniał i szepnął o Szwajcarji... o tym stroju dzisiejszym.

— Jakto? pan pamięta jeszcze? — zapytała zdziwiona.

Ale inni czekali. Odwróciła się, żeby gościom usłużyć. Sprzedaż trwała jeszcze, nie chciała, żeby ktoś odszedł niezadowolniony i raz po raz róże, które kupowano, zawijała w cienki papier, oddawała nabywcy — dla jednego jegomości cały ich pęk związała...

Leon patrzył — dawała sobie radę, liczyła pieniądze, targowała się o większą sumę i pytał siebie, ze ściśniętem sercem: „czy cośkolwiek pozostało dla niego w jej duszy — czy może ktoś już go nie zastąpił?“ Rzucił złym wzrokiem na Jerzego. Schylał się właśnie pod nogi Karoliny za różą, która była upadła. On?! Niby w tem nie było dziwnego! Stanie zatem z nim do walki. Przecież mówi przysłowie: — „Stara miłość nie rdzewieje“. Miał dawniejsze od Jerzego prawa!...

Znów zwróciła się ku Leonowi.

Zaczęli wymieniać słowa, które tylko sami rozumieli. Usiłował dać jej poznać, że zawsze pozostał tym samym — tęsknił i kochał; ona odpowiadała powątpiewając, albo zasłaniała się pozornem niedomyśliwaniem, do czego zmierzał...

Czas pewien to trwało... Leon coraz więcej nabierał śmiałości, wracała mu pewność siebie. Ona z kokieterją igrała słowami, uśmiechem; widocznie nie chciała zrażać go niechęcią, jakiś blask tryumfu świecił w jej oczach...

Wybrał przepyszną bladożółtą theę, był to jej kwiat ulubiony i kładąc na stoliku stureńskowy banknot, różę jej podał.

— W zamian za pączek przez panią samę wybrany — szepnął z gorącem błaganiem.

Wzięła od niego theę, przypięła ją do stanika zaczęła coś szukać w koszu.

Pamiętała, że miał upodobanie w gwoździkach. Dawniej, ileż razy obdarzała go gwoździkami! Znalazła wreszcie jeden i sama mu go włożyła do butonierki.

Twarz Leona rozpromieniła się, jasność szczęścia rozlała się po niej; pochwycił białą rękę, przycisnął do ust.

Gdy wszystkie rozsprzedała róże, wyszli razem z namiotu. Podał jej ramię, które przyjęła. Karolina zbliżała się do znajomych, zapraszała wszytkich do siebie. Przeszukała tak kioski i ogród cały, czy nie pominęła kogo przypadkiem.

Leon czekał, rychło zwróci się ku niemu i tracił już nadzieję, zasępił się, posmutniał. Powóz jej już był zajechał — wsiadała. Od drzwiczek gotował się odejść z niczem, gdy niespodzianie:

— A pan? — spytała — co pan robisz dziś wieczorem?

— Mniej niż nic — odparł — wszystko dla mnie kończy się z tą chwilą.

— To było nadto smutne po wesołej zabawie... Czekam w Zręcinie.

— Nie śmiałem marzyć o takiem szczęściu...

— Należy się panu coś przecie w zamian za wspaniałą ofiarę na kościół. Całe sąsiedztwo zbierze się u mnie... Do widzenia...

Ukłonił się drżący z radości.

Festyn się skończył. Porozkręcane zwitki loteryjne ubielały murawę, muzyka ścichła, zmrok zapadał. Panie przeliczały pieniądze i słychać było wesołe śmiechy panienek radych, że im się tyle losów rozsprzedać udało. Opróżniał się ogród.

Leon wskoczył na Alego i popędził do domu. Musiał jeszcze zmienić ubranie... Wstęp do Zręcina został mu otwarty!... Czuł się w siódmem niebie.

Tymczasem Nicowska i Dreptalski ostatni prawie zabierali się do odwrotu. Zawołała pana Marcina, aby jej pomógł w składaniu rzeczy, które ze sobą przywiozła i wyciągała go na różne złośliwe uwagi...

— Widziałeś pan, jak dziwnie prędko przystali do siebie pan Leon z Klęcką?

— Et — rzucił ręką mrugając powiekami.

— A dotychczas prawie się nie znali... Wdowa nie bywała w Malinnie. Dreptalski uśmiechnął się znacząco.

— Pan bo tak wyglądasz, jakbyś udawał, że coś wiesz ciekawego... Gdybyś wiedział, powiedziałbyś mi pewnie! Wcaleby to nie było pięknie z pańskiej strony mieć tajemnice przedemną...

— Nie wszystko powiedzieć można — choć się wie wszystko... burknął.

— Nie udawaj pan... albo wytłómacz na cośmy dziś patrzyli. Odrazu byli ze sobą, jakby się znali od wieków. Toż świeża znajomość.

— Świeża? Hm? i śmiał się.

— Dajno pan spokój... Udajesz wszechwiedzącego.

— A jeśli wytłómaczyć nie chcę, to co?

— Pewną jestem, że pan fanfaronujesz — wistocie tyle wiesz, co i ja.

Nie mógł ścierpieć, żeby mu zarzucano niewiadomość w jakiejkolwiek rzeczy — oburzył się zatem. „Żegnam panią“ — rzekł gniewnie. — „Obrażasz mnie pani“. Nie bardzo chciał jej opowiedzieć o czem wiedział. Znał gadatliwość Nicowskiej, bał się zatem powierzyć jej tajemnicę Zawiejskich, choć względy delikatności nie mogły powstrzymać go długo.

Nie dała mu odejść.

— Nie gniewaj się, kochany panie Marcinie... Grzechem to nie jest, gdy się czegoś nie wie. Rozpowiedziałbyś przecie...

— A jeśli ja nie życzę sobie rozpowiedzieć?

Nie wierzyła?! Otóż przekonać ją musiał.

Z tajemniczą miną wyśpiewał wszystko. Czegoż się ona dowiadywała! Leon przed ślubem jeszcze kochał się w Klęckiej, ale nie ożenił się dla ważnych powodów, wziął za żonę Jadwigę i w tem materjalne względy główną grały rolę?! Co za uczta dla niej, odkrycie ciekawej historji! Wniknęła odrazu w dzieje przeszłości Leona, w dzieje tak romansowe i dziwne!.. I dodając bodźca Dreptalskiemu, aby nie opuścił żadnego szczegółu, niby nie przekonana, wykrzykiwała co chwila: „To być nie może!“

(C. d. n.)

wzór cierpliwości i wytrwania. — W Warszawie tymczasem są narzeczeni, którzy w ubiegłą sobotę obchodzili 25 rocznicę swego narzeczeństwa. Historja tej pary jest następująca:

W roku 1866 w sierpniu odbyły się uroczyste zaręczyny panny K. z panem W. i termin ślubu ich oznaczono na listopad. Przed tym terminem jednak zmarła pani K., matka narzeczonej, która z niezbadanych pobudek niechętną była temu związkowi. — Nieboszczka w pozostawionym testamencie zaklęła córkę, aby pana W. nie poślubiła, a w razie niewypełnienia jej ostatniej woli odmawiała córce macierzyńskiego błogosławieństwa.

Posłuszna i kochająca córka wolę matki całkowicie spełniła, że jednak szczerze pana W. kochała, poprzysięgła nigdy nie wychodzić za mąż, a również i rozkochany p. W., nie mogąc skłonić narzeczonej do sprzeciwienia się woli matki, wiernym pozostał pierwszemu uczuciu. Tak więc oboje już przez ćwierć wieku są tylko narzeczonymi. W ubiegłą sobotę, jako 25 rocznicę owych zaręczyn, oboje narzeczeni byli w kościele na nabożeństwie, podczas którego spowiadali się i komunikowali.

Liczne grono osób znajomych również znajdowało się na tej uroczystości. Po nabożeństwie, panna K., u krewnych swych, u których przemieszkuje, wyprawiła skromną ucztę, w czasie której głośno oświadczyła, że ani na chwilę nie przestała kochać narzeczonego, stanowczo jednak trwa w zamiarze niesprzeciwienia się ostatniej woli swej matki.

Dzielny to koń i dzielny musiał być na nim jeździec, który w trzech dniach przebiegł 375 kilometrów i po jednodniowym wypoczynku, zdrów i rzeźki, stanął znów do dalszej podróży. Sztuki tej dokazał porucznik Dominik Muzyka na angielskiej klaczy półkrwi. Wyjechawszy rano we wtorek z Pragi, przybył on w czwartek wieczorem do Lincu, i już w sobotę na tej samej klaczy wyruszył przez Bawarje z powrotem do Pragi.

Niebezpieczeństwo zalewu groziło onegdaj Karlsbadowi i było już tak bliskiem, że coprędzej zbrojono się na odparcie tego niemiłego gościa, który lada chwila miał zajrzeć do eleganckich magazynów „auf der Wiese“ i zalać niżej położone domy w sąsiednich ulicach. Grozę tego niebezpieczeństwa wywołało oberwanie się chmury powyżej Karlsbadu koło Petschau i następny kilkugodzinny deszcz bardzo obfity, skutkiem czego rzeczka Tepla przerzynająca Karlsbad, poczęła wzbierać i groziła wystąpieniem z swojego koryta.

Na widok tego kupcy poczęli wynosić towary ze sklepów, kuracjusze opuścili mieszkania w pobliżu rozgrymaszonej rzeczki, magistrat zaś w obawie o wylew kazał na pogotowiu trzymać łodzie i kładki dla ułatwienia komunikacji. Na szczęście obawy nie ziściły się. Woda niepodsycana dalszym deszczem poczęła opadać w Tepli, opadała przez całą noc z piątku i na sobotę i zrobiła tę przyjemność kuracjuszom, iż napędziwszy im obawy, już w sobotę najspokojniej płynęła sobie przez Karlsbad, zaledwie pokrywając falami kamieniste dno swoje.

Z Warzyc nam piszą:

Dnia 3 sierpnia br. w gminie Warzyce, powiat jasielski, nowo wyświęcony ks. Józef Gajda, udzielił w kościele parafialnym tłumnie zgromadzonemu ludowi z okolicy po raz pierwszy błogosławieństwo kapłańskie. Lud zgromadzony wysłuchał pięknego kazania, wypowiedzianego przez ks. Dybasia proboszcza z Trzcienicy, a otrzymawszy błogosławieństwo z rąk młodego kapłana, rozszedł się z wielkiem zadowolnieniem.

Rodzice ks. Prymicjanta, Regina i Jan Gajda, włościanie warzyccy, podejmowali w domu swoim liczne grono dostojnych gości, którzy brali czynny udział w całej uroczystości, a mianowicie kilku Przewielebnych księży Proboszczów z okolicy, dwóch ks. Profesorów gimnazjalnych i świeckich, oraz kilkunastu księży współkolegów i wielu przyjaciół i krewnych.

W pięknie umajonej zielenią i kwiatami stodole, przy bogato zastawionym stole, podczas obiadu wygłoszono kilka pięknych mów i wznoszono toasty na pomyślność ks. Prymicjanta, jego rodziców i czerstwo jeszcze trzymających się dziadków, Agaty i Marcina Urbanów, którzy w upłynionym roku obchodzili swe złote wesele, a którym własny syn, Wielebny ks. Urban, a wuj ks. Prymicjanta, podczas tej uroczystości błogosławił.

Następnie wzniesiono toasty na cześć miejscowego plebana, przewielebnego ks. St. Szymkiewicza, proboszczów z sąsiedztwa oraz młodszych księży kolegów.

Na zakończenie ks. Prymicjant wniósł zdrowie swego nauczyciela miejscowego, pod którego kierownictwem pierwsze nauki pobierał.

Tak miłemi a bardzo pięknie wygłoszonemi mowami, w których nie pominięto i młodszych braci wieśniaków, przeciągła się biesiada, nacechowana wielką swobodą i ożywieniem, aż do wieczora.

Tarnopol 9 sierpnia br.

Za inicjatywą inspektora szkolnego okręgowego, p. Emila Michałowskiego, i za zezwoleniem Rady szkolnej krajowej, otwiera się na wzór innych szkół w kraju naszym z dniem 1 września br. w tutejszej żeńskiej szkole wydziałowej kurs dopełniający, o kierunku teoretycznym, dla dorosłej młodzieży płci żeńskiej z dwuletnią nauką. Celem tego kursu jest uzupełnienie wykształcenia udzielanego przez szkołę wydziałową w takim zakresie, jakiego się wymaga od kobiety wykształconej.

Wykładane zatem będą następujące przemioty: 1. Pedagogika i dydaktyka. 2. Historja literatury polskiej wraz z estetyką. 3. Język niemiecki. 4. Historja literatury powszechnej. 5. Dzieje Polski i Rusi na tle dziejów powszechnych. 6. Hygiena i 7. Nauka gospodarstwa domowego. Prócz tego, jako przedmiot nadobowiązkowy, język francuski. Ogólna liczba godzin wynosić będzie 10 a względnie 12 tygodniowo.

Warunkiem przyjęcia jest ukończenie szkoły wydziałowej ze stopniem pierwszym lub ukończenie równorzędnego zakładu prywatnego, jednak po złożeniu egzaminu wstępnego wobec grona zatrudnionego na kursie teoretycznym. Grono to składa się zawsze z dyrektora szkoły wydziałowej, z nauczycielki udzielającej nauki gospodarstwa domowego i z nauczycieli fachowych szkół średnich, powołanych corocznie przez Radę szkolną okręgową za odpowiednią remunerację.

Uczenice kursu dopełniającego obowiązane są uczęszczać na wszystkie przedmioty obowiązkowe i składają na ręce Dyrekcji prócz wpisowego (1 zł.), opłatę szkolną w kwocie miesięcznej 5 zł. Opłata za naukę języka francuskiego wnosić będzie od 1 do 2 zł. miesięcznie odpowiednio do ilości uczenic zapisanych na ten przedmiot.

Kurs nauki będzie trwał dwa lata od 1 września do końca czerwca, a przejście z jednego roku na drugi zależnem jest od promocji.

Na górze Athos — jak donoszą telegraficznie z Aten — spłonęły doszczętnie pokrywające ją lasy. Szkoda wynosi przeszło 5 milj. fr.

Od wieku dziewiątego góra Athos było punktem centralnym mnichów szyzmatyckich i dziś jeszcze istnieje na niej przeszło dwadzieścia klasztorów, a na stoku jej wśród lasów rozrzucone są liczne kaplice i pustelnie w których przebywają mnisi.

Podczas ostatniego pożaru lasów zginęło też przeszło dwudziestu w pustelniach mieszkających mnichów, których ogień tak otoczył dokoła, że się zeń wydobyć nie mogli i śmierć w płomieniach ponieśli. Na górze Athos mieszkać ma około sześciu tysięcy mnichów.

Rozmaitości.

— **Lekarze twarzy.** Wśród wielu osobliwych profesyj, praktykowanych w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, po wojnie secesyjnej powstali fabrykańci sztucznych nosów, uszów i policzków. Wielu wojowników było tak oszpeconych, że gdy jakiś doktor ogłosił, iż naprawia wszelkie spustoszenia, uczynione przez szable i kule, uzyskał odrazu liczną bardzo klientelę.

Z początku fabrykacje te były bardzo naiwne, często można było spotkać człowieka z nosem woskowym, przylepionym do okularów, obecnie jednak sztuka zaradzenia podobnym uszkodzeniom została tak udoskonalona, że dopiero po bliższem przyjrzeniu można odróżnić fałszywy nos od prawdziwego. Nietylko żołnierzom pokiereszowanym owi lekarze twarzy (których jest teraz bardzo wielu) oddają tak wielkie usługi, przyklejają oni sztuczne policzki, obcinają zbyt wystające wargi, zamieniając je na kształtne.

Najliczniejsi są jednak podrabiacze uszu, stanowiący odrębny cech. Jankesi w zapale bójki wyciągają nieraz brzytwy z zanadrza i obrzynają przeciwnikowi uszy. — Lekarz taki modeluje sztuczne według wzorów sprowadzonych z Paryża, wyrabia z mięszaniny wosku i gumelastyki i przytwierdza je do głowy klejem specjalnie do tego używanym.

— **Curiosum.** Pewien urząd celny znalazł się niedawno w wielkim kłopocie, nie wiedział bowiem, jakiem cłem obłożyć ma mumję z Egiptu sprowadzoną. Po długich naradach mumję uznano za wędlinę i takie też cło na nią nałożono.

— **Walka o wystawę.** W Chicago toczy się obecnie zacięty spór o to, w której dzielnicy tego miasta ma być urządzoną wielka jubileuszowa wystawa międzynarodowa.

Dzielnica wschodnia leży nad jeziorem Michigan, ale za to jest za mała; więc tam wystawa urządzoną być nie może, chociaż dzielnica ta zamieszkałą jest przez ludzi najbogatszych.

Dzielnica południowa jest siedliskiem handlu a zresztą najpiękniejsza ze wszystkich. Tam, obok pięknych ulic i bulwarów, znajduje się wspaniały park Jacksona.

W dzielnicy zachodniej mieszkają głównie robotnicy, a między nimi Polacy, Szwedzi, Norwegowie i Czesi. Dzielnica ta brudna i ciemna, chociaż w jej odleglejszej części znajdują się także piękne ulice i park Garfielda.

W dzielnicy północnej mieszkają znowu przeważnie Niemcy; ulice tam szerokie, domy piękne, a prócz tego zdobi ją park Linkolna.

Reprezentanci poszczególnych dzielnic dokładają wszelkich starań, aby komitet wystawowy skłonić do wyboru miejsca na wystawę w ich dzielnicy.

Dzienniki miejscowe stają to po jednej, to znów po drugiej stronie; słowem Chicago zajęte jest walką o to, która dzielnica ma ciągnąć największe korzyści z wystawy.

Część ekonomiczna.

§ **Kasa chorych miasta Lwowa.** Dnia 5 sierpnia b. r. odbyło się posiedzenie zarządu pod przewodnictwem p. Władysława Gubrynowicza, który zdał sprawę z czynności za lipiec 1890 r.

Pozostałość z 30 czerwca 1890		4666 zł. 53½ c.
Wpłynęło w lipcu	„	3649 zł. 95 c.
	Razem	8316 zł. 48½ c.
	Wydano	3739 zł. 48 c.
Pozostało z dniem 31 lipca		4576 zł. 00½ c.

Chorych zgłosiło się w lipcu 417, z czerwca pozostało 74, zaczem było w ciągu 492 — z tych odesłano do szpitala 18 — umarło 5 — wyzdrowiało 229 — pozostało w leczeniu na sierpień b. r. 170.

W miesiącu lipcu przybyło stałych członków 484, przejściowych 950 — ogólny stan członków z końcem lipca wynosił 14.097.

Z wydanej kwoty 3739 zł. 48 c. wypada za zasiłki chorym i leczenie w szpitalu 2685 zł. 79 c., a oprócz tego wypada zapłacić aptekom za lekarstwa, a nadto za inne środki leczniczo-pomocnicze 2710 zł. 67 c., tak, że na sierpień z kwoty wykazanej 4576 zł 00½ c. pozostanie tylko 1865 zł. 33½ c. O ile z jednej strony jest to dowodem ogromnej pożyteczności instytucji kasy chorych, jak nie mniej szczerego i najobszerniejszego zajęcia się losem klasy robotniczej, która z niekłamanem uczuciem wdzięczności przyjmuje świadczenia kasy, o tyle z drugiej strony zarząd czuwać musi nad tem, by kasy niewyzyskiwano, a z przykrością wyznać należy, że trafiają się między robotnikami niestety tacy, którzy w najprzebieglejszy sposób radziby kasę wyzyskać.

Zapobiega się wprawdzie temu przez użycie stosownych kroków, podwaja to jednak czynności biura, a co gorsza, rzuca złe światło na tych, którzy w całej pełni korzystając ze świadczeń kasy, tychże nadużywają. Rzeczywista pozostałość kasowa 1865 zł. świadczy również o zobojętnieniu pracodawców dla kasy, dowodem tego olbrzymie tychże zaległości, wynoszące przeszło 8000 zł.

Są zakłady przesiębiorcze mogące śmiało, bez uszczerbku dla siebie, płacić należytość do kasy jak najregularniej, a pomimo wzywania do zapłaty, pomimo udawania się do władzy nadzorczej o ściągnięcie tych należytości, nic zarząd nie wskórał, nie mogąc nawet wytłumaczyć sobie tej dziwnej obojętności władzy, która bądź co bądź winna popierać cele instytucji i zarządu. Gdyby tak dalej iść miało, a mianowicie, gdyby władza nadzorcza nie poleciła jak najenergiczniejszego ściągnięcia zaległości, gdyby w końcu pp. pracodawcy lekceważyć sobie mieli postanowienia ustawowe i statutowe, wówczas nie byłaby Kasa chorych w stanie zadośćuczynić swoim względem członków zobowiązaniom, za co naturalnie nie ciężyłaby odpowiedzialność na zarządzie.

Po przyjęciu tego sprawozdania do wiadomości, uchwalono instrukcję dla lekarzy.

§ **Na targach zbożowych** nie wywołał ubiegły tydzień znacznych obrotów. Przeciwnie, wyczerpanie się zapasów starego zboża i bardzo nieznaczne dowozy nowego sprawiły, iż ceny więcej nominalnie niż istotnie notowane, chwiały się i kierowały ku zniżce. Wybitnym wyrazem tej mdłej tendencji był handel w gotowym towarze, gdyż z wyjątkiem jęczmienia, poszukiwanego przez zagranicznych konsumentów, w innych gatunkach zbóż z każdym dniem uszczuplały się ceny. Spadła więc pszenica gotowa przeciętnie o 10 ct., spadło również chociaż nieznacznie żyto, a nawet obroty w owsie, artykule dotąd niesłychanie poszukiwanym, były niewielkie i za towar stary płacono 7—7.60, za nowy 6.80—7 20 zł.

W handlu terminowym ożywienie było większem, a przypuszczalne obliczenia tegorocznych zbiorów działały podniecająco. Wedle tych obliczeń tegoroczny sprzęt pszenicy wypadł pomyślniej w Niemczech o 4.0 miljonów hektolitrów

w Niemczech	o 4.0	miljonów	hektolitrów
we Włoszech	o 3.1	„	„
w Austrji	o 18.2	„	„
w Rosji	o 18.3	„	„
na Bałkańskim półwyspie	o 3.5	„	„

lecz natomiast zebrały w bieżącym roku mniej pszenicy:

Anglja	o 1.4	miljonów	hektolitrów
Indje	o 10.9	„	„
Francja	o 12.4	„	„
Ameryka	o 43.5	„	„

W obec tego płacono: pszenicę na jesień po 7.19—7.23, na wiosnę 7 60 zł., żyto na jesień po 6.02, na wiosnę 6 30 zł., owies na jesień po 6.36, na wiosnę 6.36 zł., kukurudza na jesień 5.73, na wiosnę 5.65 zł.

§ **Wyniki taryfy strefowej** na państwowych kolejach Węgier w pierwszym roku po jej zaprowadzeniu zostały już ogłoszone. Wyrażają się one w następnych cyfrach:

	w roku od 1/8 888 do 31/7 889	od 1/8 889 do 31/7 890	
liczba podróżnych	5,186.227	13,060.751	+ 7,874.524
pakunków pasażerskich	465.759	603.060	+ 137.301
pobrano: z przewozu podróż. zł.	8,777.179	10,627.676	+ 1,850.497
pakunk. „	391.109	558 645	+ 197.536
ogółem zł.	9,128.288	11,186 321	+ 2,048 033

Z powyższych cyfr wynika, że liczba podróżnych zwiększyła się od terminu zaprowadzenia taryfy strefowej o 152 pr., pakunków pasażerskich o 29·5 pr., a dochód ogólny z przewozu podróżnych i ich pakunków wzrósł o 22·4 pr.

§ **Na piątkowy targ wiedeński** na galicyjską nierogaciznę przypędzono 3000 lżejszych i cięższych bagonów. Z powodu licznego spędu ceny spadły i płacono za kilogram żywej wagi od 34 do 40 centów prócz opłaty akcyzowej.

Wiedeń 9 sierpnia.

(*Z*) Już wczoraj pod wpływem osłabionych kursów na giełdach zachodnich, targ nasz utracił gorączkowy rozpęd ku zwyżce i wśród ustawicznych wahań obniżyły się notowania wielu efektów międzynarodowego znaczenia, tak bankowych jak kolejowych. I dziś trwał dalej ruch chwiejny, wahający się między chwilowemi porywami ku zwyżce a pewną rezerwą, nakazaną spekulacji względami tygodniowej likwidacji. Wznosiły się więc i opadały notowania, lecz w końcu: zażegnanie przesilenia finansowego w Argentynji, obniżenie się tamecznego ażia złota na 125 pr., znaczny spadek glasgowskich warrantów żelaza i dobre usposobienie giełdy berlińskiej dla walorów górniczych, nadały naszym dzisiejszym operacjom wybitną markę zwyżkową. Z pod jej ochrony zeszły też z dzisiejszego targu z kursami podwyższonemi prawie wszystkie akcje bankowe, poprawiły swoje notowania papiery transportowe i zakończyły dzień zwyżkami Alpiny, Pragskie, Salgo i cały długi szereg innych górniczych walorów.

Mniej wybitnie występował ruch zwyżkowy w rentach. Podniosły się wprawdzie obie renty austrjackie i węgierska złota, lecz obniżyły się obie wspólne.

Waluty od wczoraj chylące się ku zniżce, dziś znowu stanieły znacznie.

Ostatecznie notowano.

Kredyty austrjackie 307 60 węgierskie 358 75 Anglobanki 163·—. Uniony 242 75 Bankvereiny 120 40 Länderbanki 232 — Ludwiki 202 50. Czerniowieckie 230 — Renta papierowa 88 30, srebrna 89 60 austrjacka złota 108 90 papierowa 101·25 węgierska złota 101 95 papierowa 99 85 Ruble 1 36½

Telegramy „Przeglądu“

Wiedeń 11 sierpnia. Uszkodzenia toru kolejowego pod Blowicami naprawiono i dziś kursują już regularnie według planu jazdy pociągi między Wiedniem a Chebem (Eger).

Belgrad 11 sierpnia. Poseł turecki Feridun bej przyjmował wczoraj deputację Serbów i Macedończyków, która wręczyła mu petycję do sułtana przeciw wysłaniu bułgarskich biskupów do Macedonji.

Rzym 11 sierpnia. Z 29.397 uprawnionych do głosowania wyborców oddało swoje głosy 5362 na Antonelliego, a 4519 na Barzilaja.

Praga 11 sierpnia. Przedwczoraj w nocy w okolicy Pragi wyrządziła powódź ogromne szkody. Z ludzi nikt nie utracił życia.

Monachjum 11 sierpnia. Wczoraj przed południem odbyła się tu uroczystość odsłonięcia pomnika ojca stenografji Gabelsbergera. W uroczystości tej wzięli udział liczni zagraniczni reprezentanci, a nawet burmistrz paryski miał uroczystą przemowę.

Buenos Ayres 11 sierpnia. Doniesienie biura Reutera. Handel zaczyna się podnosić. Gwardje narodowe rozpuszczono już do domu, a wczoraj odbyło się publiczne zgromadzenie, które udzieliło wotum zaufania rządowi. O banku narodowym krążą niekorzystne pogłoski. Ażjo od złota wynosi 148, według późniejszych doniesień tylko 146½.

Nowy York 11 sierpnia. Towarzystwo Centralnej nowojorsko-hudsońskiej kolei najęło nowych robotników w miejsce bastujących. Na dworcach czuwa policja, a dla utrzymania porządku publicznego i obrony cudzej własności, milicja miejska w Buffalu i Syrakuzie stoi w pogotowiu.

Belgrad 11 sierpnia. Drugie powołanie milicji zawezwano na miesiąc sierpień do ćwiczeń.

Rzym 11 sierpnia. Papież nadał namiestnikowi Dalmacji wielki krzyż orderu św. Grzegorza wiceprezydentowi i namiestnictwa Pavichowi do krzyża komandorskiego tego samego orderu dodał gwiazdę.

Berlin 11 sierpnia. *Nordd. Allg Ztg.* opierając się na autentycznych źródłach zaprzecza doniesieniom dzienników, jakoby w tegorocznych manewrach wojsk niemieckich mieli wziąć udział obcy monarchowie. Oświadcza, iż tylko Cesarz austrjacki przybędzie na szląskie manewra.

Berlin 11 sierpnia. Virchow zamknął dziś międzynarodowy kongres lekarski, wypowiedziawszy przedtem długą mowę, na którą odpowiadali delegaci wszystkich na kongresie reprezentowanych narodów. Przed południem cesarzowa przyjmowała delegacje kongresu.

Bruksela 11 sierpnia. Wczorajsze zgromadzenie delegatów stronnictw postępowych i robotnicznych z całego kraju uchwaliło wysłać do króla telegram i w nim w imieniu kraju żądać zaprowadzenia powszechnego głosowania. Następnie uchwalono, iż w czasie między 10 a 15 września zebrać się ma kongres i na nim postawiony będzie wniosek ogólnego bezrobocia. Wielu mówców oświadczyło, że należy zejść z drogi legalnej, a jąć się drogi nielegalnej, bowiem lud jest najwyższym zwierzchnikiem i wola jego musi być wykonana. (Bardzo groźnie, ale nielogicznie. *p. R.*)

Bruksela 11 sierpnia. Liczba uczestników w manifestacji za głosowaniem powszechnem wyniosła pono około 40.000. Porządku nie zamącono. O godzinie 1ej minut 15 gwałtowna ulewa rozpędziła uczestników manifestacji. Wszystkie oddziały biorących udział w tej demonstracji niosły przed sobą chorągwie z plakatami, na których było wypisane żądanie powszechnego głosowania. Garnizon był skonsygnowany w koszarach. Po ustaniu deszczu na nowo rozpoczął się pochód socjalistów do parku St. Gilles, gdzie przewódzcy złożyli przysięgę, iż dotąd nie spoczną, dopóki w Belgji nie zostanie zaprowadzonem powszechne głosowanie. Powtórna gwałtowna ulewa położyła ostateczny koniec dalszym manifestacjom.

Helgoland 11 sierpnia. Sekretarz państwowy Boetticher objął w sobotę w imieniu cesarza wyspę tę w posiadanie. Podczas tej uroczystości miał mowę, w której wypowiedział nadzieję, iż dobro obywateli Helgolandu i pod panowaniem niemieckim pomyślnie rozwijać się będzie. Podczas uczty wzniósł toast na przyjaźne stosunki, jakie panują między Niemcami i Anglją i na cześć angielskiej królowej. Na cześć cesarza niemieckiego toastował dotychczasowy angielski gubernator Helgolandu Barkly, a w imieniu mieszkańców wyspy dyrektor zakładu kąpielowego Michels. W czasie uczty przybito na miejscach publicznych drukowane reskrypta cesarza niemieckiego kontrasygnowane przez kanclerza.

Helgoland 11 sierpnia. Proklamacja wydana przez Boettichera zaznacza, iż cesarz pokłada ufność w Helgolandczykach, iż ci zawsze pozostaną wierni cesarzowi i ojczyźnie. Cesarz zaś przyrzeka według możności nie zmieniać wcale istniejących na Helgolandzie ludowych praw i zwyczajów, żyjących już mieszkańców Helgolandu uwalnia zupełnie od wojskowej służby, taryfy cłowe jeszcze przez długi szereg lat zostaną niezmienione, a rząd prawa wyznania, szkoły i kościoła w całej pełni zachowa.

W przemowie do żołnierzy marynarki wspomiał cesarz o bitwie pod Woerthem i oświadczył, iż wyspę tę wciela on do państwa niemieckiego, jako ostatni kęs niemieckiej ziemi. Zadaniem wyspy tej będzie być przezornym szańcem obronnym dla niemieckich żeglarzy, opieką i ochroną dla marynarki przeciw każdemu nieprzyjacielowi.

Helgoland 11 sierpnia. O trzy kwadranse na 12 przed południem przybył tu cesarz niemiecki na statku „Hohenzollern“, któremu towarzyszył okręt „Irena“, mający na pokładzie księcia Henryka. Flota dała salwę powitalną, również i z wyspy dano salwę. Uroczyste pzzyjęcie odbyło się w porcie. Wyspę przybrano uroczyście, a wszędzie objawiał się entuzjazm i nastrój umysłów poważny. Potem odprawiono nabożeństwo polowe, a po przemowie cesarza zatknięto flagę niemiecką, wśród strzałów armatnich, na znak objęcia wyspy w posiadanie. Nastąpiła potem defilada wojsk, poczem mieszkańcy wręczyli cesarzowi adres poddańczy. Później odbył się obiad galowy. Około godziny wpół do 4ej po południu cesarz odpłynął; pogoda w czasie tej całej uroczystości była wspaniała.

Londyn 11 sierpnia. Królowa Wiktorja zaprosiła oficerów eskadry austro-węgierskiej na śniadanie, które odbyło się dziś w Osborne.

Wilhelmshaven 11 sierpnia. Cesarz przybył wczoraj wieczorem o godzinie 8 do nowego portu, stąd zaś pociągiem pospiesznym pojechał do Berlina.

Berno (w Szwajcarji) 11 sierpnia. Szwajcarskim weterynarzom urzędującym w okręgach położonych na granicy Niemiec i Austrji nakazano nie przepuszczać transportów świń i owiec wysyłanych do Francji.

Salzburg 11 sierpnia. Wczoraj wręczono uroczyście księciu arcybiskupowi salzburskiemu Hallerowi pallium, oraz odbyła się jego uroczysta intronizacja.

Ateny 11 sierpnia. Wedle doniesień ajencji Havasa wywołać miało udzielenie baretów bułgarskim biskupom w Macedonji wielkie wzruszenie umysłów w Atenach. Zachowujące się dotąd wyczekująco ministerjalne dzienniki uderzyły nagle w inny ton i protestują przeciw krzywdzie wyrządzonej żywiołowi greckiemu. Podejrzywują tu, że jest to manewr rządu, aby przy najbliższych wyborach ubezwładnić opozycję.

Wiedeń 11 sierpnia. Wedle wykazu banku austro - węgierskiego, wynosił z dniem 7 sierpnia b. r. stan obiegu banknotów 411,728.000, a więc zwiększył się od czasu ostatniego wykazu z dnia 31 lipca b. r. o 2.420.000, równocześnie wynosił zapas kruszcowy banku 243,901.000, zmniejszył się przeto o 48.000, portfel zawierał 159.048.000, zwiększył się przeto o 2,165.000; lombard zawierał 20,550.000, przeto zwiększył się o 483.000. Wolna od podatków rezerwa banknotów wynosiła 34,866.000 zł. i zmniejszyła się o 1,868.000 zł.

Przyjechali do Lwowa
11 sierpnia 1890.

HOTEL ANGIELSKI. F. Stanek z Wissenki. L. Paszkowski z Krakowa. E. Dejnicki z Buczacza. A. Dogilewski z Demianowa. T. Biłous z Kołomyi. T. Zajączkowski z Budzanowa. K. Peterkheil z Pragi.

HOTEL GEORGA. Z. hr. Ledochowska z Podola ros. P. Burzyńska z Buczacza. J. Jędrzejowicz z Litatyna. A. Raciborski z Wojniłowa. K. hr. Chocińsky z Jarosławia. M. Proszyński z Mińska J. J. Assanowicz z Grodna: Wł. Chodkiewicz z Wołynia. J. A. Osiecki z Nicei. J. Herbst z Odessy. Z. Eplor z Wiednia. G. Prunkuł z Suczawy. K. hr. Dzieduszycka z Gwoździca. Z. Kozłowski z Wiednia.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 11 sierpnia godz. 1. min. 45.

Akcje kredyt.	307.85	Węg. kolej półn. wschodn.	196 50
Alpiny	98 30	Wiedeńskie losy kom.	148.—
Kredyty węg.	358 75	Akcje tyton.	125 50
Anglobanki	163.75	Gal.obl. indem.	104 50
Uniony	243.50	Elbethale	232 75
Ludwiki	202·75	Länderbanki	232.80
Nordbany	277.50	Renta zł. węg.	101,85
Lombardy	142 —	Bankvereiny	120 75
Losy tureckie	36 10	Renta węg. pap.	99 95
Staatsbahny	238 —	Ruble	136 50
Czerniowieckie	230.—		

Usposobienie silne.

Lwów. Z Izby handlowej 11 sierpnia 1890

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud.,200 zł. w, a.	201 50	203 50
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	228 50	230 50
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	296 50	298 50
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hipot. 4½% wa. los. w 50 lat.	98·65	99·35
Banku hyp. galic. 5% „ „ 40 „	101 35	102 05
Banku hyp. galic. 5% z 10% pr.	107 30	108 —
Banku krajowego 4½% wa.	99 —	99 70
Tow. kred. galic. 5 „ „	100 65	101 35
„ „ „ 4 „ „ nieokr.	98 —	98 70
„ „ „ 5 „ „ los w 37 l.	100 65	101 35
„ „ „ 4 „ „ „ „ 41½	95 40	96 10
„ „ „ 4½% „ „ „ 52 l.	100 10	100 80
„ „ „ 4 „ „ „ 56 „	95 —	95 70
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	58 50	61 —
„ „ „ „ (daw. 5%) 2½% „	49 50	52 50
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 pro. m. k.	104 —	104 70
Galic. fund. propinacyjnego 4% „	92 70	93 40
Kom. banku kraj. 5 pro. w. a. I em.	100 70	101 40
Pożyczka kraj. z r 1873 6 pro. w. a.	104 50	— —
„ „ „ 1883 4½% „	98 40	99 10
5. Losy:		
Losy miasta Krakowa	22 50	24 —
„ „ Stanisławowa	28 —	30 —
6. Monety		
Dukat holenderski	5.36	5.44
Dukat cesarski	5 44	5.52
Napoleondor	9 16	9.24
Półimperjał rosyjski	9.50	—·—
Rubel rosyjski srebrny	1.37	1.47
„ „ papierowy	1.35¾	1.37¾
100 marek niemieckich	56 35	56 85

Pociągi kolejowe.

Podług zegaru lwowskiego (Od 1 czerwca 1890)

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg pośp. lub kurjer	Pociąg osobowy	Pociąg osobowy	Pociąg mieszan.
Z Krakowa	4·08	9·28	8·50	7·16
Z Podwołoczysk	2·20	7·30		8·15
Z Podwołoczysk na Podzamcze	2·08	7·01		2·38
Ze Suchy, Chyrowa, Stryja, Husiatyna i Stanisławowa		8·36		
Z Budapesztu, Munkacza, Ławocznego, Stróżego, Chyrowa, Stryja, Husiatyna i Stanisławowa		12·08		
Z Suczawy Czerniow. i Stanisł.		6·58		
Z Bukaresztu, Jass, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa		2·—		
Z Bukaresztu, Jass, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa	9·—			
Z Bełzca (Tomaszowa)				5·41
Z Bełzca tylko we wtorki i piątki				10·17
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	2·28	8·30	4·20	7·20
Do Podwołoczysk	4·11	9·50		10·35
Do Podwołoczysk z Podzamcza	4·22	10·15		11·05
Do Stryja, Chyrowa, Stróżego, Ławocznego, Munkacza, Budapesztu, Stanisławowa i Husiatyna		5·50		
Do Stryja, Chyrowa i Suchy		10·20		
Do Stryja, Chyrowa, Suchy, Ławocznego, Munkacza, Budapesztu, Stanisł. i Husiatyna		8·45		
Do Stanisławowa, Czerniowiec, Jass, Bukaresztu i Husiatyna	9·16			
Do Stanisławowa, Czerniowiec, Jass i Bukaresztu		4·30		
Do Stanisławowa, Husiatyna, Czerniowiec i Suczawy		10·16		
Do Bełzca (Tomaszowa)				8·08
„ „ tylko w piątki				2·29
„ „ tylko we wtorki				4·48

Uwaga: Godziny podkreślone linijką oznaczają porę nocną od godziny 6tej wieczorem do 5 godz. 59 m. rano.

3)

ZŁY DUCH.

(LA DUSCHESSE D'ALVARÉS.)

Przez

PIOTRA ZACCONE.

Przekład z francuskiego **E. Z.**

(Ciąg dalszy).

— O! zupełnie! — odpowiedziała młodsza.

— Będziesz na tym balu?

— Będę, chcę go zobaczyć... chcę się sama przekonać.

— To szaleństwo!

— Być może.

— Któż ci towarzyszyć będzie?

Zapanowało milczenie; Gauttier dostrzegł lekki rumieniec na twarzy młodej kobiety, do której zapytanie to było zwrócone. Wytężył słuch, aby usłyszeć odpowiedź.

Lecz znowu inne powozy oddzieliły go od pięknych kobiet, stangret jego znalazłszy trochę wolnego miejsca, zaciął konie, które popędziły szybko i zatrzymały się dopiero przy kaskadzie.

Zniecierpliwiło to trochę Gauttier'a, lecz wkrótce przestał myśleć o tem, co w przejeździe uchwycił z rozmowy sąsiadek.

Wyciągnął z niej tylko ten wniosek, że dnia tego był bal, na który miało się udać kilka pań, spotkanych przez niego przypadkiem.

W tym względzie chciał być dokładniej objaśnionym.

Trudnem to nie było, bo kiedy w godzinę później powrócił do Grand-Hôtelu, dowiedział się, że tego wieczoru wydawano na korzyść biednych pierwszy bal maskowy w nowej sali Opery!

Doskonała to była sposobność dla przybysza, to też Gauttier postanowił być na tym balu, gdzie miał spotkać przedstawicieli rozbawionego Paryża.

Gauttier był jednym z pierwszych, którzy się stawili w sali.

Wybijała właśnie północ, kiedy wchodził na słynne schody marmurowe z poręczą oniksową i balustradą z masy karminowej, naśladująca styl starożytny a stanowiące cud współczesnej architektury.

Była to prawdziwa biesiada dla oczu Jakóba.

Stanął osłupiały z podziwu i zachwytu i utkwił wzrok w te harmonijne bogactwo kolumn, ganków, balustrad, tysiącznych arabesków, różnorodnych kamieni, snycerskich frendzli w kształcie dzwonków, otaczających sklepienia.

Światło płynące z tysiąca bronzowych kandelabrów, rozlewało się po polerowanych kamieniach, odbijając się znowu o marmury włoskie i w sklepieniach arkad kopuły.

Gauttier byłby długo pozostawał jeszcze w tym niemym zachwycie, gdyby po godzinie nie poczuł dotknięcia małej rączki.

Odwrócił się raptownie.

III.

Bal maskowy w Nowej Operze.

Kobieta jakaś, otulona szczelnie w czarne atłasowe domino, stała obok niego.

Twarz jej nawpół była ukryta czarną aksamitną maską bez koronki.

Wzruszenie Gauttier'a tak było gwałtowne, że stracił panowanie nad sobą.

Kobieta była widocznie młoda, wzrostu małego, szczupła.

Objął ramieniem kształtną jej kibić.

Z otworów maski wyglądały oczy płomienne, usta uśmiechały się wesoło, pokazując dwa rzędy ząbków, jak perły równych i białych.

Gauttier ścisnął w swoich, malutką rączkę, opiętą w czarną rękawiczkę.

Czy to w skutek bujnej wyobraźni parafianina, czy też wrodzonej naiwności, zdawało mu się, że czuje, jak serce młodej kobiety odpowiada gwałtownem tętnem jego zachwytowi.

— A więc zgadzasz się, żebym został twoim wielbicielem? — mówił, pochylając się do ucha nieznajomej.

— Tak, dopóki nie odprowadzisz mnie do foyer, a że bal rozpoczyna się dopiero, mamy więc dość czasu przed sobą... byłoby mi jednak bardzo przykro, gdybym w czemkolwiek krępować cię miała.

— Ale przecież spotkamy się jeszcze?...

— To zależeć będzie...

— Niczego bardziej nie pragnę, jak żeby nasza znajomość trwała jak najdłużej.

— A jednak nie jesteś tu dla mnie.

— Kto to wie?

— Żartujesz sobie.

— Wcale nie.

— Nie widziałeś mnie nigdy przed tem, nie znasz nawet mego imienia.

— Bez wątpienia, ale wierzę w nadzwyczajne przypaki, w przeznaczenie, a zresztą jest coś szczególnego w naszem spotkaniu, coś, czego w żaden sposób naturalnem nazwać nie można. Przypuszczam wszelako, że się tu przychodzi jedynie w zamiarze pokochania się.

Rozmawiając tak wchodzili na schody pierwszego piętra. Kiedy już stanęli w przedsionku foyer, domino wysunęło nieznacznie rękę z pod ramienia Gauttier'a, mimo jego usiłowań, aby ją zatrzymać.

— Jakto, mamy już się rozłączyć — zapytał z żalem głębokim.

— Nie chcę cię kompromitować — odpowiedziała nieznajoma ze srebrzystym śmiechem.

— Mocno żałuję.

— Stosunki o tyle są dobre o ile trwają krótko.

— Chciałbym bardzo widzieć cię jeszcze.

— Może się też spotkamy.

— W jaki sposób poznam cię w tym natłoku domin?

— Ty przecie nie jesteś zamaskowanym; za parę godzin zbliżę się może do ciebie i przejdziemy razem do foyer.

— Przyrzekasz mi to z pewnością?

— Przysięgam.

Gauttier ścisnął rękę młodej kobiety.

— O! jak to dobrze — wymówił z zapałem — a jednak mogłoby być jeszcze lepiej.

— Jakim sposobem?

— Odchodzisz?

— Tak.

— I bardzo być może, że się już więcej nie zobaczymy!

— Niezawodnie.

— A więc błagam cię o jedną łaskę!

— Mów!

— Odsłoń tylko na chwilkę tę brzydką maskę, która mi zakrywa rysy cudowne... Pozwól, niech uniosę choć wspomnienie twojej piękności, a przysięgam, że każdy rys twej twarzyczki utkwi mi na zawsze w pamięci i sercu... Czyż żądanie to zbyt zuchwałe? czy nie zrobisz tego, o co cię błagam!

Młoda kobieta, powoli, jakby z żalem podniosła maskę, przykrywającą jej rysy i odsłoniła młodemu człowiekowi twarz uśmiechniętą.

— Czy jesteś zadowolnionym? — pytała. — Widzisz z jaką pokorą poddaję się twemu życzeniu... a teraz odzyskuję wolność i oddaję ci twoję... Żegnam cię.

To mówiąc, zabierała się do wyjścia, ale Gauttier zachwycony, oczarowany, wyciągnął rękę, aby ją zatrzymać.

Było to jeszcze dziecko, zaledwie mogące mieć lat szesnaście. Nigdy jeszcze oczom Jakóba nie ukazało się takie zjawisko nadziemskie, niewinne. Było coś w tem nieprawdopodobnego, niemożebnego prawie... Ogarnęła go też chęć nieprzeparta odkrycia prawdy.

— Co ci się stało? — zapytała, zmięszana na chwilę wrażeniem, które na nim sprawiła.

— Rzeczywiście, nigdy się nie spodziewałem.

— Czego?

— Jesteś urocza, zachwycająca!... a taka młoda.. Kto cię tu przyciągnął?... Czego tu szukasz?...

Jakiś cień smutku przemknął po czole dziewczęcia, cień przemijający, niewidzialny prawie; po chwili przybrała znowu zuchwały, prawie cyniczny spokój.

— Czego tu szukam? — odpowiedziała i wbrew zuchwałości, która zresztą mogła być udaną, głos jej zadrżał, co nie uszło uwagi młodego człowieka — czego tu szukam? Pewnie, że nie ciebie... Jednak nie gniewam się wcale, że cię tu spotkałam.

— Ja muszę się jeszcze z tobą widzieć.

— Czyż to warto?

— Proszę cię.

— Niech i tak będzie! Teraz jednak trzeba nam się rozłączyć, ty pójdziesz w swoją stronę a ja w swoją... i cokolwiekby mi się przytrafiło przez te parę godzin, obiecuję, że nie opuszczę balu, nie uścisnąwszy twojej dłoni.

— Liczę na twoję obietnicę.

— Nic mnie nie zmusza do jej wypełnienia, jednakże możesz być pewnym, że jej dotrzymam.

— A więc do zobaczenia, niedługo.

— Tak, niedługo!

Rozłączyli się.

Gauttier powiódł za nią smętnym wzrokiem; widział jak znikała w tłumie, który coraz szczelniej zapełniał kurytarze; wkrótce stracił ją z oczu wśród ogólnego ruchu i gwaru.

Namyślał się co robić, potem nagle, jakby wyrywając się z przygnębiającego wzruszenia, spiesznie się oddalił.

Wszedł obojętnie w pierwsze lepsze drzwi i znalazł się w foyer.

Tu wszystko było dla niego nowem!

Gdy ujrzał się w olbrzymiej sali balowej, oświetlonej dwunastu żyrandolami, rzucającemi olśniewające światło na cały ten tłum barwny, zdało mu się, że jest w jednym z tych zaklętych zamków z „Tysiąca i jednej nocy", zdobnym w złoto i djamenty.

Musiał iść wolno, gdyż ścisk był straszny.

Postępował tak, otoczony młodemi kobietami, które usiłowały go zająć swoją wyzywającą wesołością.

Gauttier nie widział ich twarzy, które starannie ukrywały; słyszał tylko głosy, jedne pieszczotliwe i dźwięczne, inne chrapliwe i pieszczące, wychodzące z za masek aksamitnych.

Niektóre nawet obdarzały go czułemi, ognistemi lub wyzywającemi spojrzeniami.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.